Centralny Zw. Stowarzyszeń Łowieckich.

Narzekamy wciąż na fatalny stan panujących u nas stosunków łowieckich. Brak ustawy łowieckiej, rozwielmożnione kłusownictwo, niski stan kultury łowieckiej i większości naszych myśliwych, niezrozumienie czynników miarodajnych czem jest i czem powinno być nasze łowiectwo i t. d. i t. d. Należy przyznać, że większa część tych zarzutów, które się słyszy w rozmowach prywatnych, lub czyta na łamach pism, jest słuszna. Niemniej jednak zauważyć można że w łowiectwie naszym dzieje się coraz lepiej. Powoli, bardzo powoli, następuje jednak poprawa. Jeśli sięgniemy pamięcią wstecz, do pierwszych lat w których staliśmy się naprawdę niepodzielnemi gospodarzami naszych pól i kniei, to przypomnimy sobie, że wtenczas było gorzej. Najwięksi życiowi optymiści nie wierzyli nietylko w rozwój łowiectwa, ale nawet w utrzymanie się jego na jakim takim poziomie. Pesymizm ten wyszedł jednak na dobre, wywołał bowiem organizowanie się myśliwych w stowarzyszenia, związki i t. p., w myśl maksymy: „w jedności siła".

W rezultacie po pewnych tarciach i sporach o których dzisiaj, śmiało rzec można, zapomnieli wszyscy, powstał „Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich" i obecnie szczycić się możemy z jednolitego, zwartego frontu łowieckiego, przy którym stać będziemy i z otuchą walczyć o zdobycie praw należnych łowiectwu w odrodzonej Polsce.

Pierwszą myśl utworzenia Centralnego Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich rzucił p. Janusz Domaniewski na zjeździe Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we Lwowie w dniu 11 czerwca 1921 roku. Opracowaniem i wprowadzeniem tej myśli w czyn zajęły się dwie najpoważniejsze organizacje w Polsce: „Polskie Towarzystwo Łowieckie" w Warszawie i „Małopolskie Towarzystwo Łowieckie" we Lwowie.

Ułożeniem statutu zajęła się Komisja Łowiecka Polskiego Tow. Łowieckiego, która też na dzień 26.V 1922 zwołała do Warszawy przedwstępny wszechpolski „Zjazd Delegatów Towarzystw Łowieckich". Wbrew mniemaniu organizatorów zjazdu, nie udało się wtenczas załatwić pomyślnie sprawy założenia Centrali. Sprawa ta była też omawiana wszechstronnie na następujących zjazdach: w Poznaniu w dniu 19.VI 1922, w Warszawie w dniu 27.X 1922, w Warszawie w dniu 6.I 1923 i w Warszawie w dniu 9.VII 1923. Na tym ostatnim zjeździe, reprezentowanym przez delegatów 14 towarzystw łowieckich i przedstawiciela Ministerstwa Rolnictwa założono ostatecznie „Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich".

Czem jest ten związek i jaki ma zakres działania? Najlepszą odpowiedzią na to pytanie będzie przytoczenie kilku §§ statutu „Centralnego Związku".



Sokół raróg. (Falco lanarius, sacer) samica.

„§ 1. Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie jest zrzeszeniem stowarzyszeń, działających w zakresie gospodarstwa łowieckiego w Rzeczypospolitej Polskiej. Związek ma siedzibę w Warszawie, jako stolicy Państwa. Terenem działalności Związku jest Rzeczpospolita Polska, z zachowaniem miejscowych praw o stowarzyszeniach.

§ 2. W skład Związku Centralnego wchodzą, jako członkowie, poszczególne stowarzyszenia łowieckie, istniejące jako odrębne osoby prawne.

§ 3. Centralny Związek ma na celu wspólną pracę wszystkich stowarzyszeń, zjednoczonych około podniesienia zwierzostanów krajowych, oraz opiekę nad łowiectwem pod względem ekonomicznym i etycznym.

§ 9. Każde stowarzyszenie wchodzące w skład Związku opłaca roczne $6^0/_0$ swych składek członkowskich i korzysta z 1 głosu na każdych 100 członków, przyczem rozpoczęta setka liczy się za pełną i daje prawo 1 głosu.

§ 10. Stowarzyszenia, stosownie do ilości posiadanych głosów, wysyłają odpowiednią ilość delegatów na Zjazdy i Zebrania Ogólne Centrali.

§ 15. Zarząd Centralnego Związku składa się z 15 członków lub więcej, stosownie do uchwały Walnego Zjazdu Delegatów, z których każde Stowarzyszenie deleguje po 1 członku Zarządu, a pozostałą ilość wybierają delegaci na Walnym Zjeździe.

§ 16. Zarząd Centralny wybiera corocznie z pośród siebie: 1 prezesa, 2 wiceprezesów, 2 sekretarzy, 1 skarbnika, 1 referenta spraw łowieckich. Tych siedmiu członków Centralnego Zarządu stanowi Wydział Wykonawczy Centrali.

§ 24. Walne Zjazdy zwyczajne odbywają się każdego roku nie później jak 15-go czerwca. Zjazdy Walne nadzwyczajne zwołuje Centralny Zarząd według swego uznania oraz na żądanie $^1/_4$ członków lub Komisji Rew. w ciągu miesiąca po otrzymaniu wezwania. Zjazdy wszystkie są prawomocne w pierwszym terminie bez względu na liczbę obecnych".

Organem Związku jest „Łowiec Polski", wychodzący w Warszawie.

Nie trzeba chyba nikogo przekonywać o tem jak ważną placówką dla łowiectwa polskiego jest „Centralny Związek Polskich Stowarzyszeń Łowieckich". Jego Wydział Wykonawczy, urzędujący w Warszawie, czuwa nad wszelkiemi sprawami łowiectwa i interwenjuje u odpowiednich władz we wszelkich kwestjach czy to zagrażających zasadniczym postulatom łowiectwa, czy też wymagających przeprowadzenia jakichś nowych rozporządzeń. Za pośrednictwem Centralnego Zarządu i Wydziału Wykonawczego każde stowarzyszenie łowieckie, należące do Związku, może z łatwością upominać się u rządu czy Sejmu o należne prawa i informować się jak ewentualnie w takiej a takiej sprawie należy postąpić.

Jako dobrze zgrany zespół wszystkich stowarzyszeń myśliwskich, przestrzegających prawidłowe łowiectwo, Centralny Związek przedstawia poważną siłę i z opinją jego musi się liczyć zarówno rząd, jak i społeczeństwo.

Mało jest obecnie takich towarzystw łowieckich, któreby do Związku jeszcze nie należały. Nie zaszkodzi jednak przypomnieć, że należeć powinny wszystkie, bo tylko zwartą ławą idąc możemy dla łowiectwa wywalczyć w Polsce takie stanowisko, jakie ma ono w innych kulturalnych krajach.

Siedziba Związku mieści się w Warszawie (Nowy Świat 35).



SOKÓŁ WĘDROWNY.

(*Falco peregrinus calidus*).

MONOGRAFJA MYŚLIWSKA.

W pięknym dniu grudniowym r. 1920 jechałem na Komisję z Parczewia do Opola. Wygodne sanki, zaprzężone w rącze koniki, mknęły raźno po wyślizganej drodze. Zimowe słońce szło odwiecznym swym szlakiem po niebie bez chmur, oświetlając jaskrawo białe pola, ciche, jakby drzemiące wioski i zielone, oparem przesłonięte lasy, przesuwające się przed oczami szybko i zmiennie, jak w kalejdoskopie. Jasne promyki słońca odbijały się

tysiącami brylantów w puszystych warstwach śniegu. Każdy jego płatek migotał kolorami tęczy...

Jechałem rozmarzony i zachwycony niezwykłą pięknością zimowego krajobrazu. Po drodze badałem świeże tropy zajęcy, ciągnące się wydeptanemi ścieżynami wzdłuż lub wpoprzek drogi. W gąszczu przydrożnego lasu zauważyłem ze zdumieniem dwie raszki czerwonogardłe, skaczące po gałązkach, okiścią obciążonych i świergocące wesoło. Dziwiło mię, dlaczego nie odleciały te małe śpiewaki budzącej się wiosny. Może zwiodła je ciepła i długa jesień?

Naraz na kilka kilometrów przed Opolem zauważyłem na słupie telegraficznym dużego myszołowa. Dogodny musiał być ten słup dla jego obserwacji, skoro zerwał się tuż przed końmi i poleciał leniwie naprzód, by znowu usiąść na następnym słupie. Gdy go tak ciągle podjeżdżałem i gdy mu się kilkakrotne spędzanie znudziło, poszybował w bok ponad polem do widniejącej na horyzoncie gruszy. Ledwie odleciał kilkaset kroków od drogi, gdy nagle inny jakiś ptak podniósł się z ziemi, z miejsca zakrytego niewielkiem wzniesieniem i z rozgłośnem „kiak", „kiak" począł bić na myszołowa, jakby go chciał odpędzić. Śledziłem bacznie szybkie i zdecydowane ruchy nowego drapieżnika i poznałem w nim po długich jego kończystych skrzydłach, krótkim ogonie i silnym tułowiu, sokoła wędrownego. Gdy już przepędził myszołowa i odprowadził go na znaczną odległość, wrócił na miejsce, skąd się przedtem zerwał, i zapadł szybko za wzgórzem. Wyjęcie strzelby z futerału i włożenie nabojów było dziełem kilku minut. Wyskoczyłem z sanek, poleciłem furmanowi zatrzymać się opodal i ruszyłem w kierunku sokoła, brnąc po kolana w śniegu. Wyszedłszy na wzgórze, zobaczyłem go w oddaleniu jakich 80 kroków, siedzącego na ziemi i zajadającego coś z apetytem; widziałem wyraźnie, jak się schylał i głowę podnosił. Byłem gotów do strzału, ale i sokół nie czekał... Zerwał się z żerowiska, unosząc w szponach jakieś ciemne strzępy, niby skrzydła. Złożyłem się momentalnie i strzeliłem. Ptak opuścił swój ciężar i uleciawszy ukośnym, ciężkim lotem z jakich 50 m., spadł na śnieg. Poszedłem do niego. Wprzód jednak stwierdziłem, że łupem jego był gawron; zjadł go był już całego prawie, a zostały mu tylko skrzydła i część grzbietu. I te resztki chciał unieść ze sobą. Następnie doszedłem do sokoła. Począł przedemną uciekać na nogach, pomagając sobie skrzydłami, z których jedno skaleczyły śróty. Dopędziłem go wreszcie, ująłem za skrzydła i zaniosłem do sań. Był to piękny okaz sokoła wędrownego. Patrzał na mnie z przerażeniem swojemi pięknemi, czarnemi, łzawemi oczyma, a od czasu do czasu otwierał straszny dziób, jakby chciał nim grozić. Na nogach grubych, obrośniętych prawie po palce, widziałem długie i ostre szpony.

Sokół wędrowny przedstawia typ drapieżnika zupełnie inny, aniżeli gołębiarz lub krogulec; innym jest w sposobie polowania, inne też ma zwyczaje. Jak gołębiarz i krogulec są pospolitemi rabusiami, tak sokoły zdobyły sobie zaszczytne miano drapieżców szlachetnych, a to dzięki pewnym właściwościom, któreby można nazwać myśliwskiemi zaletami. Sokół uderza na zdobycz raz tylko, jeśli mu się nie uda uchwycić jej w pierwszym rozpędzie, porzuca ją i odlatuje, aby w innem miejscu i na inną zwierzynę atak wykonać. Gołębiarz i krogulec ścigają swoją ofiarę aż do zupełnego jej wyczerpania, wyciągając ją nieraz z kryjówki. Gołębiarz i krogulec, napastowane przez wrony lub kruki, nie dają sobie wydrzeć łupu, nakrywają go skrzydłami, albo nawet bronią go zajadle dzióbem i szponami. Sokół, ścigany przez natrętów i niepokojony na żerowisku, porzuca ostatecznie zdobycz i odlatuje. Nie atakuje wreszcie zwierzyny, siedzącej na ziemi; kuropatwy np. stara się podpędzić, lub czeka aż mu kto inny w tem pomoże. Najmilszą dla niego jest zawsze zdobycz, którą może uchwycić w locie. Zabija nieraz ptaki bez wyraźnego celu, uderzywszy je swą piersią tylko; może czyni to dla próby... Zapamiętałem sobie z lat dziecięcych taki epizod. Z rozległych błot, ciągnących się nad Sołokiją, w okolicach wsi Korczowa, podniosło się nagle stadko czajek i osiągnąwszy znaczną wysokość, poczęło szybko uciekać. Naraz nadlatuje sokół... Widzę, jak się w locie poprawia i zmierza błyskawicznym lotem ku czajkom. Wnet dopędza jedną i zakręciwszy nad nię młynka, uderza ją sobą z całej siły. Poczęstowana w ten sposób czajka spadła na ziemię, a sokół popłynął dalej nie troszcząc się więcej o nią. Podbiegłem do czajki i znalazłem ją ledwie żywą. Przypuszczam, że sokół popróbował na niej sprawności swoich ruchów i siły uderzenia, a gdy próba wypadła pomyślnie, pogardził marnym łupem.

Czem są koty wśród drapieżców mięsożernych, jeśli chodzi o inteligencję, spryt i o ogólne uzdolnienie, tem są sokoły wśród drapieżników skrzydlatych, jako ich najdoskonalsi przedstawiciele.

Jak się już wyżej rzekło, należą sokoły do szlachetnych drapieżników. Dziób ich, zgięty już u nasady hakowato, miewa w górnej szczęce wyraźny ząb, który wchodzi w odpowiednią szczerbę w żuchwie. Ciekawe, że taką formę dzióba mają np. oba gatunki naszych dzierzb, a to: dzierzba rudzik i dzierzba srokosz, stanowiące, jak wiadomo, przejście od owadożernych do mięsożernych, gołębiarz natomiast i krogulec drącego zęba w dzióbie

nie mają wcale. Otwory nosowe, umieszczone w woskówce, są u sokołów zawsze okrągłe, a nigdy podłużne, jak u gołębiarzy, chronione nadto licznemi szczeciniastemi piórkami. Oczy sokołów mają tęczówkę (iris) zawsze ciemną, prawie czarną, i są otoczone grubą, mięsistą, za życia czerwoną, powieką. Odznaczają się nadzwyczajną siłą wzroku. Skrzydła sokole są długie, sięgające prawie do końca ogona i kończyste. Ogon, aczkolwiek dość długi, wydaje się w locie za krótki, co bywa wynikiem wzrokowego złudzenia, charakteryczną zaś



Sokół wędrowny (falco peregrinus, calidus, lanulatus) samiec.

jego cechą są znacznie krótsze od innych dwie skrajne sterówki. Sokoły posiadają krótkie, ale bardzo silne nogi, obrośnięte zwykle do połowy skoku, a u białozorów grenladzkich aż po palce, które kończą się długiemi i ostremi szponami.

Naliczono na ziemi około 60 gatunków sokołów. Wspomnę tutaj tylko o najważniejszych, o tych mianowicie, które albo żyją u nas sezonowo przez zimę lub lato, albo zalatują niekiedy do Polski w poszukiwaniu za żerem, lub zapędziła je wichura. Najzwyklejszym sokołem naszym jest pustułka (falco tinnunculus). Poznać ją łatwo po popielatej główce, czerwonawym, czarno znaczonym płaszczu, żółtawym w podłużne płomyki ubranym brzuchu i po długim ogonie. Oczy ma ciemne, dziób mały, silnie zgięty, a otwory nosowe okrągłe, ukryte w piórkach szczeciniastych. Poluje od wczesnej wiosny na myszy i norniki, wypatrując je z powietrza. W tym celu unosi się nieraz długo nad ziemią, zawisnąwszy w jednem miejscu nad mysią norą. Na przebiegającą mysz rzuca się lotem strzały, porywa i na miejscu pożera. Chwyta również w locie różne chrząszcze i szarańczaki. Gnieździ się u nas, na zimę zaś zwykle odlatuje na południe. Zaznaczam „zwykle“, gdyż widywałem pustułki i w zimie. Sokolik ten jest wielkim przyjacielem rolnika i dlatego zasługuje na bezwarunkową ochronę. Chowany w klatce, oswaja się łatwo i wtedy zjada podawane mu wróble. Obdarowany wolnością niechętnie z niej korzysta i przebywa długo w pobliżu domu, w którym się wychował.

Zwyczajnym, ale o wiele rzadszym u nas jest sokół drzemlik (falco aesalon), o błękitnawo-popielatym płaszczu, szarawej głowie, jaśniejszym barku i ciemnych, długich lotkach. Dziób ma bardzo krótki, od nasady hakowato zgięty, z zębem w górnej szczęce, a szczerbą w żuchwie i o nozdrzach okrągłych. Spód ciała jest biały, gęsto podłużnemi centkami znaczony. Na policzkach występują u niego ciemne bokobrody. Skrzydła ma długie, w locie sierpowato zgięte, ogon dość krótki, klinowaty. Należy do najszybszych sokołów. Żywi się skowronkami, trznadlami i innemi polnemi ptaszkami, które na miejscu łowu zjada. Uderza i na jaskółki. Jest tak lotny i zwinny, że rzadko który ptaszek z życiem przed nim uchodzi. Rysem charakterycznym w jego myśliwstwie jest to, że podlatuje naprzeciw swej ofiary, zmusza ją do obniżenia lotu i w jednej chwili chwyta. Jest bardzo drapieżny i zuchwały, ale nie dość ostrożny, bo najedzony drzemie na drzewie i łatwo podejść się daje. Jest szkodliwy i zasługuje zawsze na strzał. Drzemlik należy do przelotnych sokołów. Przebywa u nas tylko w zimie od października do końca lutego. Z wiosną odlatuje na daleką północ na skały Skandynawji lub Laponji, by tam uwić gniazdko. W północnych obszarach Polski ma się gnieździć.

Corocznie przelatuje w sierpniu lub wrześniu przez naszą Ojczyznę mały szaro-popielaty sokolik (falco hirundinum). Poznać go po jasnej smudze nad okiem, jasnej głowie, po ciemnych bokobrodach i rdzawo-żółtem upierzeniu na piersiach i na nogach.

Władysław Gürtler.

(*D. c. n.*).

KROGULEC JAKO SĄSIAD.

Było to 22 czerwca przeszłego roku. Właśnie wróciłem z lasu, gdy niezwykły hałas i niespokojne krakanie licznego stada wron zwróciło moją uwagę na kilka świerków, wystających z gęstwiny kilkunastuletnich sosen. Czarna ta hołota złodziejska zgromadziła się nad ową gęstwiną w powietrzu, wciąż krążąc około wspomnianych świerków, wyśpiewując swą ochrypłą pieśń, i od czasu do czasu to jedna, to druga wrona oddzieliła się od czarnego stada, spuszczając się z powietrza ze wściekłym krakaniem w szumiącą gęstwinę, niby zimorodek, który spostrzegłszy swój łup w zielonych falach, znika pod powierzchnią wody, by się po chwili znów nad nią zjawić. Tłomaczyłem sobie to dziwne zachowanie się wron obecnością jakiegoś jastrzębia. Wzmagający się coraz hałas spowodował, że postanowiłem udać się do miejsca, które takie wzbudzało we wronach zainteresowanie.

Lecz niewiem, czy się za nieostrożnie zbliżyłem, czy też wronom się nareszcie ta jednostajność ich działania sprzykrzyła, dość, że gdy przybyłem na upragnione miejsce panował największy spokój. Nie spostrzegłem nawet żadnego z hałasujących rozbójników, którzy przed chwilą uspokoić się nie mogli, ani też żadnej innej żywej istoty, prócz nieustannie krzyczącego kosa. Już chciałem wracać, gdy nagle z pobliskich drzew odleciał jakiś jastrząb, który mi natychmiast znikł z oczu. Uważałem go za gołębiarza, gdyż wielki ten okaz zdawał mi się na krogulca, nawet i na samicę, zbyt mocnym. Wróciłem do domu, nie mogąc sobie wytłomaczyć, dlaczego ów jastrząb tak uparcie na owem miejscu, pomimo hałasu wron pozostał, gdyż ja przecież gromadę wron nad owymi świerkami blisko pół godziny obserwowałem. Przypadkowo miałem jednak sposobność tę zagadkę rozwiązać. Mniej więcej tydzień po tem zdarzeniu znalazłem się znów na drodze leśnej, prowadzącej do powyżej opisanego miejsca i mimowoli zbliżyłem się do niego. Jak wielkie było moje zdumienie, gdy właśnie z tego samego drzewa co wówczas odleciał ów mniemany gołębiarz, w którym dzisiaj, ponieważ mogłem się trochę dłużej jego ucieczce przypatrywać, poznałem krogulca zdumiewającej wielkości. Z ciekawością zbliżyłem się do owej sosny, liczącej około 60 lat, z której przed chwilą krogulec odleciał. Tu, ledwie dziesięć metrów nad ziemią, zauważyłem pielesz. By moją ciekawość zupełnie zaspokoić, wdrapałem się na sosnę, która się zresztą do tego doskonale nadawała. Teraz mogłem się pieleszowi z bliska przypatrzeć. Było to stare gniazdo, które z pewnością już niejedną zimę przetrwało, zupełnie niedbale urządzone, płaskie, nie posiadające żadnego zagłębienia. W środku na świeżej korze sosnowej umieszczone były trzy jaja zielonawo-białe z dość wielkiemi brunatnemi plamkami. Zdziwiłem się jeszcze bardziej. Teraz pod koniec czerwca krogulec na jajach? Normalnie powinien siedzieć w maju, więc w obecnym czasie musiałbym znaleźć zamiast trzech jaj, pięć albo sześć mniej lub więcej wyrosłych młodych! Wątpiłem nawet zrazu, że to ląg krogulca, ale trzy zupełnie naturalnie zaopatrzone jaja, kilka porozrzucanych piór świadczyły przecież najwyraźniej o niedawnej bytności tego śmiałego jastrzębia. Uwolniłem się więc jak najprędzej z mego krytycznego położenia, by późnemu wylęganiu tego ptaka nie przeszkadzać. Wróciłem do domu, rozmyślając z jakiej przyczyny ląg tego krogulca został o dobry miesiąc spóźniony. Pielesz jego był oddalony tylko o 15 kroków od drogi leśnej, mimo tego został tak zręcznie założony, że stamtąd jedynie przez wyćwiczone oko mógł być spostrzeżonym. Nie zdziwiło mnie to, że się tak blisko tej drogi osiedlił, gdyż jest faktem, że ten ptak drapieżny przeważnie niedaleko dróg lub ścieżek swój pielesz buduje. Więcej zdziwiłem się, że nie zwrócił uwagi na bliską leśniczówkę, która najwyżej o 500 kroków była oddalona. Miałem więc rzadki zaszczyt nazwać krogulca moim sąsiadem. Dlatego też postanowiłem go ochraniać, ponieważ wyjątkowa bliskość gniazda dawała mi niezwykłą sposobność do badania i poznania życia i zwyczajów tego zuchwałego ptaka.

Postanowiłem go tymczasowo przez trzy tygodnie nie odwiedzać, by mu w jego jednostajnej pracy nie przeszkadzać. Sądziłem bowiem, że składania jaj jeszcze nie dokończył, ponieważ miewa zwykle przynajmniej pięć jaj. Po upływie tego czasu zbliżyłem się około południa ostrożnie do pielesza, tak abym nie został spostrzeżony. W odległości kilkunastu metrów, skąd miałem dobry widok na gniazdo, skryłem się w świerkach. Chcąc się przekonać czy krogulec się oddalił, czy też jeszcze siedzi, patrzałem przez lornetkę. Spostrzegłem samicę siedzącą na krańcu pielesza i patrzącą w gniazdo, gdzie prawdopodobnie siedziały wylęgnięte młode. Odjąłem więc lornetkę, próbując

czy jej gołem okiem nie zobaczę, co mi się teraz też udało. Już nie ulegało żadnej wątpliwości, że to krogulec. Bardzo mocny i piękny ten okaz siedział zupełnie spokojnie na krańcu pielesza, patrząc macierzyńskim wzrokiem na swoje potomstwo, to oglądając się na lewo, to na prawo, pilnując bezpieczeństwa gniazda. Raz nawet zwrócił swe bystre oko jastrzębie w moją stronę, właśnie pod ten świerk, pod którym siedziałem. Zdawało mi się, że spotkałem się z nim oko w oko, że mnie zauważył i w następnym momencie odleci. Lecz myliłem się. Znowu odwrócił wzrok odemnie i rozglądał się, wciąż pilnując młodych. Kilka promieni słonecznych przedarło się przez gęsty dach zielonych gałęzi sosnowych i spadło na szarawy grzbiet krogulca. Może ożywiony przez owe promienie, machnął lotami krótko raz i drugi i uporządkował swe pióra. Nagle rozejrzał się, ale zaraz powrócił do swojego zajęcia. Szelest zięby, która za nim usiadła, spowodował jego rozejrzenie się. Ta skacząc z gałęzi na gałąź, prosto naprzeciw krogulca zaczęła nucić swą pieśń. Sądziłem, że natychmiast na nią uderzy, lecz tak się nie stało. On nie zwrócił najmniejszej uwagi na ptaszka, który spokojnie dokończył swą piosnkę. Pragnąłem bardzo oglądać młode krogulce, jednak nie chciałem daremnie przestraszać samicy, która tak starannie swe dzieci pilnowała. Odłożyłem więc wykonanie mojego życzenia na jutro, spodziewając się, że samicy o innej porze dnia nie zastanę. Lecz nazajutrz, gdy przybyłem o dwie godziny wcześniej, tak samo jak przeszłego dnia opiekowała się swojem potomstwem. Dziś spostrzegłem więcej niż jedną śpiewającą ziębę w pobliżu pielesza, a ich nieprzyjaciel zdawał się upajać ich piękną melodją. Także przeskakującą sójkę zostawił w spokoju. Wnioskowałem z tego, że krogulec, jak i prawdopodobnie każdy inny jastrząb, ptactwa w pobliżu pielesza nie umorzy.

Zdziwiłem się nareszcie, że zawsze tylko spotykam samicę, chociaż u ptaków drapieżnych i samiec opiekuje się swemi młodemi. Następnego dnia jednak i on się zjawił. Przybywszy do pielesza zauważyłem, że samicy niema. Uradowany, rozpocząłem natychmiast podróż na drzewo. Tu siedziały stulone trzy młode w białych puchach. Dzioby już były dosyć rozwinięte, otwarte, jakby odemnie żądały zdobyczy. Niedługo cieszyłem się tym widokiem. W następnej chwili ciężkim lotem zbliżyła się samica, niosąca coś ciężkiego w szponach. Gdy mnie na drzewie zauważyła, opuściła owe coś i z głośnem: „Pyjjk, pyjjk, pyjjk“ zjawiła się nad moją głową, unosząc się w powietrze, to znowu spuszczając się na dół, jak strzała, tuż obok mnie, wciąż wydając owe „pyjik, pyjjk“. Jaknajprędzej zszedłem. Wtem zabrzmiało także z drugiej strony owo kwilenie. Wysoko w powietrzu spostrzegłem samca, który zauważywszy mnie, zaraz znikł. Samica natomiast usiadła natychmiast na pielesz, w obawie o życie młodych. Chciałem się oddalić, jednak wpierw udałem się na miejsce, gdzie krogulec porzucił swoją zdobycz. Już zdala poznałem gołębia. Zbliżyłem się jeszcze o kilka kroków, i raptem stanąłem jak wryty. W owym gołębiu poznałem własnego! Porwała mnie wściekłość, i już chciałem winnego śmiercią ukarać, lecz na razie przebaczyłem mu i postanowiłem ofiarować mu tego gołębia. Odszedłem. Przez następnych kilka dni zostawiłem go w spokoju. Dopiero po tygodniu, gdy mi drugi gołąb znikł, odwiedziłem znowu pielesz. Tym razem samica siedziała nad drogą i pozwoliła mi się zbliżyć na 15 kroków, poczem odleciała na następne drzewo i znów dalej, chcąc mnie łudzić, podobnie jak kaczka, która pragnie ocalić swe młódki. Lecz ja nie zważałem na nią, tylko wdrapałem się na drzewo, by stwierdzić wzrost młodych.

(D. c. n.). *E. R.*

Z Międzynarodowego Kongresu Ochrony Ptaków.

„Łowiec Polski“ Nr. 9, podaje sprawozdanie red. Jana Sztolcmana z „Międzynarodowego Kongresu Ochrony Ptaków“ w Luksemburgu.

Delegat Polski wystąpił na zjeździe tym ze słusznym wnioskiem przeciw skasowaniu wiosennych polowań na ciągnące słonki z których samice stanowią w ogólnej liczbie zaledwie 6,5%. Gdyby strzelano na ciągu tylko do słonek chrapiących — procent ten zeszedł by do zera. Po referacie red. Jana Sztolcmana p. t. „Płeć słonek na ciągu, jako podstawa prawodawstwa łowieckiego“ Kongres przyjął jednogłośnie wniosek następujący: „Kongres po wysłuchaniu referatu delegata Polski p. Sztolcmana, oraz odnośnych uwag pp.: Delacour'a i Chappelier'a, zaleca swym członkom badania nad płcią słonek ciągnących na wiosnę, jak również poczynienie u swych rządów właściwych kroków w celu ograniczenia polowań na słonki podczas ich przelotu jesiennego, zwłaszcza na ich zimowiskach“.

P. Chappellier (Francja) zgłosił wniosek, aby we wszystkich prawodawstwach zniesiono wyraz „szkodliwy“ dla ssaków i ptaków.

„Przegląd Myśliwski“ rzucił swego czasu podobną myśl w numerze listopadowym r. z.

POLOWANIE NA KAPIWARY.

Kapiwar (hydrochoerus capybara), największy z gryzoniów Ameryki Południowej, a bodaj i całego świata, jest stworzeniem wysokości dochodzącej 50 centymetrów, długości zaś około 1 metra. Wymiary te rzadko przekracza. Osobniki dorosłe ważą 50 kg., a nieraz i więcej. Są one podobne do naszych niewielkich świń domowych, różniąc się tylko inaczej zbudowanym łbem z tępo zakończonym pyskiem. Niektórzy polscy zoologowie nadają im nazwę „wodoświnki", zupełnie, według mnie, słuszną, gdyż jest to stworzenie ziemnowodne, czujące się dobrze zarówno w lesie jak i na rzece.



Pińjor (Araucaria brasiliensis).

Kapiwar w południowej Brazylji w stronach zamieszkanych przez naszych rodaków, w stanach Parana i Santa Catharina, jest jeszcze dotychczas zwierzyną bardzo pospolitą. Pospolitość tą nasi koloniści przeklinają niejednokrotnie, gdyż stado kapiwarów potrafi w ciągu jednej tylko nocy zniszczyć zupełnie uprawne pole. Ale ponieważ na pola napadają, oprócz kapiwarów, również małpy „miko" (cebus capucinus), stada dzikich świń (dycotyles torquatus) i innych pomniejszych szkodników, przeto koloniści, w porach kiedy dojrzewa kukurydza lub pataty, starannie pilnują swoich plantacyj. Nierozważny rolnik, liczący na to, że w okolicach niema większych stad, zwykle przypłaca swoją lekkomyślność poważną klęską, gdyż zwierzęta te robią niekiedy dalekie wycieczki. Oczywiście w okolicach bliskich kolei, gdzie kolonje są bardzo liczne, lasy przetrzebione, a zwierzyna wypłoszona, niebezpieczeństwo to albo nie istnieje wcale, albo też istnieje w bardzo nieznacznym stopniu, inaczej jednak rzecz ma się w okolicach zamieszkanych przez białych od niedawna. W takich dzikich stronach koloniści są specjalnie zawzięci na kapiwary, ze względu na szkody, jakie te stworzenia nieustannie im przyczyniają.

Jak już wspominałem, niektóre podręczniki polskie używają na oznaczenie imienia kapiwara nazwy „wodoświnka", lecz Polacy brazylijscy, stykający się niemal codziennie z tym szkodnikiem, nawet ze słyszenia nie wiedzą, że poczciwy kapiwar ma jakiekolwiek inne imię, a tembardziej tak swoiście brzmiące.

Pewnego razu odwiedziłem rodaka mieszkającego głęboko w lasach stanu Santa Catharina, z zamiarem przebycia u niego kilku tygodni w ciszy i spokoju.

Okolica była tam niesłychanie piękna.

Naokoło niewielkiej kampiny (polanki) wyrastała potężna, tajemniczo szumiąca dżungla spowita tysiącem ljan, pokryta wieczną zielonością, pełna cieplarnianego zaduchu, niesamowitych szmerów

i nigdy nieujawnionych tragedyj. Nieprzebyte bambusowe trzcinniki, rozciągające się na setki kilometrów wokoło, strzegły jej przepastnych ostępów i zawartych w nich tajników. Po niedostrzegalnych szlakach sertonu hulał sobie bezkarnie tylko wicher hałaśliwy lub złośliwy bóg indyjski, Tupan, w rudego wyjca zaklęty.

Stary kolonista, otoczony liczną rodziną, prowadził patryjarchalny żywot. Dzieci pracowały na ojcowskim gruncie do chwili, gdy które nie zapragnęło założyć własnego ogniska rodzinnego, od tej dopiero chwili ojciec pozwalał swej latorośli, o ile to był syn, udawać się dalej w las i kupować ziemię od okolicznych kabokli.

lasy, zwierzyna momentalnie wynosi się dalej, z wyjątkiem sarn, bardzo przywiązanych do swoich miejsc rodzinnych. Nie znaczy to jednak, aby w miejscowościach skolonizowanych nie było zupełnie zwierzyny, jest jej tylko znacznie mniej i przeważnie drobnej. Chociaż w takich okolicach przez całe miesiące nieraz nic nie słychać o kapiwarach, to jednak w okresie dojrzewania kukurydzy i patatów, stanowiących ich przysmak, zjawiają się niejednokrotnie bardzo liczne ich stada i niszczą zbiory doszczętnie. Dlatego też kolonista nie zaniedbuje obserwacji i, o ile pokażą się ślady tych szkodników, czatuje na nie wytrwale i zabija. Wytrwałość w polowaniu potęguje także fakt, że



KAPIWAR.

I tak w przeciągu kilkunastu lat czterech synów spory szmat dziewiczego boru zamieniło w płynącą miodem i mlekiem kolonję. Z jednego z sąsiednich szczytów te ludzkie siedziby wyglądały jakby wielkie piękne trawniki z powystrzyganemi niewielkiemi jasnemi plamami poręb.

W Brazylji jest tyle lasów, że zwierzyna spłoszona w jednem miejscu może cofnąć się dalej, w strony nienawiedzone ludzką inwazją, pozostawiając swe dawne tereny łowów na łasce boskiej, a właściwie człowieczej. W Europie sprawy te przedstawiają się zupełnie inaczej, gdyż tutaj zwierzyna, gdzieby się nie udała, zawsze na swej drodze spotka człowieka, dlatego też trzyma się jednych miejsc i nie robi wędrówek, za wyjątkiem gatunków posiadających charakter wędrowny. W lasach Brazylji, skoro koloniści zaczynają trzebić

mięso kapiwara jest jadalne i dość smaczne, tłuszcz zaś używają kabokle do tych samych leczniczych celów, do jakich używają nasi ciemni wieśniacy tak zwany „zajęczy skrom“ i inne tego rodzaju babskie leki.

Po rozgoszczeniu się u kolonisty i po zaspokojeniu jego ciekawości o tem co tam na szerokim świecie słychać, zwróciłem się z kolei do niego ja i zapytałem.

— A u was, w sertonach, co słychać?

Stary pokiwał smętnie głową.

— Źle słychać.

— No cóż takiego? — dopytywałem się ciekawie.

— „Robactwa“ w tym roku kręci się co niemiara, szkody napewno porobi duże.

Na wiadomość o licznem „robactwie“ zatarłem z radości ręce.

— Nie może być, a czego najwięcej kręci się w tych stronach.

Stary machnął ręką.

— Różnego łajdactwa nie brakuje, ale najwięcej to będzie pewno tych rozbójników kapiwarów.

Fakt ten, przysparzający zmartwienia kolonicie, mnie cieszył bardzo, gdyż skoro już zdecydowałem się na kilkutygodniowy odpoczynek w lesie, to przecież najmilszą rozrywką podczas niego mogło być tylko polowanie. Na kapiwary już wprawdzie polowałem, ale pomimo tego miałem wielką chęć zapolować na tę zwierzynę, wprawdzie pospolitą, ale do upolowania wcale nie łatwą.

M. B. Lepecki.

(d. c. n.).

Wyprawa myśliwska do Abissynji

3

Właściwy powód zwłoki był bardzo prosty. Abisyńczycy z natury rzeczy i z konieczności, są ogromnie podejrzliwi. W każdym białym zwiedzającym ich kraj widzą szpiega jednego z europejskich mocarstw; i bez końca zwlekając z wydaniem pozwolenia, w międzyczasie zbierają odpowiednie informacje.

Te trzy tygodnie zeszły nam na częstych wycieczkach—bliższych pieszo, i dalszych na mułach. Jedną z ciekawszych była wycieczka do jeziora Stara-Maja; leży ono o 35 kilometrów od Dire Daona, opodal drogi wiodącej do Harraru. Nie zdarzyło mi się nigdy widzieć takiej ilości ryb i ptaków zgromadzonych w jednem miejscu. Wybrzeża jeziora porośnięte trawą i kępami drzew, pobliskie płaskowzgórza, roją się stadami pentarek, gęsi, kaczek, kulonów, nurków i innych pierzastych stworzeń; w przezroczej wodzie co chwila pomykają lśniące ryby. Ptactwo czuje się tak bezpiecznie, że widok myśliwego nie płoszy go bynajmniej; po strzale, stada zrywają się coprawda do lotu, ale po to jedynie, by za chwilę znowu opaść na wodę lub ląd.

Parę dobrych strzelb oraz nieograniczona ilość ładunków, mogłyby tu sprawić istną rzeź; my jednak zadowoliliśmy się niewielką ilością strzałów. Co do mnie osobiście, to zabiłem tylko parę gęsi, tyleż kaczek i kilka kulonów rozmaitych odmian.

Polowaliśmy pozatem na kuropatwy, kozy, szakale, oraz na malutkie antylopy, wielkości zająca, zwane tu z arabska dik-dik. W gęstej trawie trafiały się nieraz duże lądowe żółwie, a na wyższych górach koczowały stada małp. Jednak nie cieszyło nas to bynajmniej, bowiem krajowcy, a po części nawet europejczycy, na widok naszych trofeów uśmiechali się nieraz, mówiąc.

„To wszystko drobiazg! Ot, w głębi kraju, to dopiero zwierzyna... Słonie, nosorożce, lwy!“...

Ogarniała nas wówczas szewcka pasja, którą poskramialiśmy w jednej z miejscowych restauracji paru butelkami szampana, dobierając do kompanji,

RAMOTY I RAMOTKI MYŚLIWSKIE.

Nowa gawęda o panu Domejce i Dowejce.

Znaliście Państwo pana Domejkę z Moczymordy? Był to boćwinę uprawiający szlachcic mały, przysadzisty z brzuchem okrągłym, twarzą pucołowatą, wąsem zadzierzystym, nosem szerokim, który upiększała brodawka czarnym włosem porosła!

Nie znaliście go? A to szkoda, bo był to człowiek zajmujący.

A pana Dowejkę ze Ślepej Kiszki także nie? I na tym straciliście. Ja znałem obydwóch. Pan Dowejko dla odmiany wysoki, chudy, z długimi wiechatymi na dół zwieszającymi się wąsami, jak wiatrem poszarpana strzecha. Obaj drążkowa szlachta. Bardzo poczciwi, ale siarczyście czupurni, jak wszyscy Litwini. Oj! Nie zdrowo z nimi zadzierać!

W jednym urodzili się miesiącu, do jednej chodzili szkoły i do jednej akademji, jak się zdaje

w łatwo zrozumiałym celu, któregoś z bosonogich dygnitarzy.

Lecz przyszedł nareszcie dzień, w którym Atto Nagato, pogodnie uśmiechnięty, wręczył nam duży arkusz papieru opatrzony pieczęciami i podpisem Menelika. Spojrzeliśmy na siebie z radosnym błyskiem oczu i zaledwie opuściwszy pałac gubernatora stanęliśmy na ulicy, stwierdziliśmy głośno najważniejszą w danej chwili myśl:

„Jedziemy jutro!“

24.I. Skończyły się dnie naszej niewoli i wyruszyliśmy nareszcie w drogę pełną przygód, niebezpieczeństw i rozkoszy łowieckich.

Kierujemy się wprost na południe. Karawana nasza, licząc w to trzech białych, pana D., mnie i lokaja Wicka, składa się z dwudziestu jeden ludzi. Idziemy w raz na zawsze ustalonym porządku. Pan D. i ja pierwsi, „konno“ na mułach, w lekkich, do tropikalnego upału zastosowanych ubraniach, w korkowych hełmach, i dobrze uzbrojeni. Za nami w pewnem oddaleniu dygnitarz obozowy — kucharz, oraz tłumacz mający zarazem służyć za przewodnika. Dalej nieco siedem wielbłądów powiązanych ze sobą w ten sposób, że łeb jednego łączy się z ogonem drugiego. Niosą one ciężkie juki z żywnością, skrzynki z nabojami, części namiotów i tak dalej. Tuż za nimi pięć również objuczonych mułów. Obok poganiacze w liczbie sześciu. Wraz z nimi idą narazie czterej „zagari“, czyli strzelcy, obowiązani później, gdy się łowy rozpoczną, nosić za nami zapasową broń, tropić zwierzynę, urządzać zasadzki na grubszego zwierza, i wogóle spełniać wszystkie czynności w zakres myśliwstwa wchodzące. Wszyscy czarni, dotychczas wymienieni są to somalisi. Pochód zamyka eskorta złożona z sześciu abisyńskich żołnierzy.

Somalisi, nie wyłączając kucharza i tłumacza, noszą jednaki strój: nieokreślonego koloru szmatę owiniętą wkoło bioder. Są bosi i bez żadnego nakrycia głowy. U pasa, na sznurku plecionym z palmowych włókien, kołysze się w drewnianej pochwie długi, wygięty nieco nóż, straszna broń w ich muskularnych dłoniach. Przerzucona przez ramię wisi wełniana derka, będąca zarazem kołdrą i materacem, bowiem owinięci w nią spędzają noce na gołej ziemi.

Abisyńscy żołnierze różnią się jedynie uzbrojeniem, bowiem prócz noży posiadają jeszcze wcale dobre karabiny.

Liczebność naszej karawany zapewnia nam poniekąd bezpieczeństwo w razie nieprzyjaznych zakusów miejscowej ludności; skład jej ubezpiecza nas mniej więcej przed zamieszkami natury wewnętrznej, Somalisi i abisyńczycy nienawidzą się wzajemnie z całą szczerością półdzikich serc. Wzięci oddzielnie, gotowi są zawsze do wypowiedzenia posłuszeństwa białym przybyszom z za morza, ale nawet do tak chwalebnego celu nie pójdą nigdy ręka w rękę; a co lepsze, jedni staną zawsze po stronie białych, dla tej prostej racji, żeby być w opozycji względem drugich. Szczęśliwa ta okoliczność niejednemu podróżnikowi uratowała życie, to też skład karawan bywa zazwyczaj mieszany.

Dzień mamy ciepły, ale upał nie daje się nam we znaki. Okoliczność ta jest tem szczęśliwszą, że mamy do przebycia niezmiernie trudną drogę. Szlak nasz pnie się wciąż ku górze, jako ledwo przetarta ścieżka, pełna kamieni usuwających się z pod nóg. Wielblądy nawykłe raczej do miękkiego i równego gruntu pustyni, mają trudne zadanie. Muły idą dość sprawnie. Czasem jednak któreś zwierzę odmówi posłuszeństwa, wówczas rozbrzmiewa dziki wrzask poganiaczy.

Okolica nie przedstawia nic szczególnie cie-

---

smorgońskiej. Domejko gadativus, jak pan Rejent Bolesta, trajkotał jak pytel i machał przytem śmigami, jak wiatrak, Dowejko na odmianę zwykle siedział cichutko — patrzał i słuchał, pary z gęby nie puszczając.

Mimo tak wielkiej różnicy temperamentu łączyła ich przyjaźń od kołyski, która nie dla niedźwiedziej, jak to pan Mickiewicz opisał, ale dla pospolitej, podłej baraniej skóry, o mało co nie zmieniła się w zaciętą inimicycję. A jak to było zaraz opowiem.

W Kitajbrodach odbywało się polowanie, nie na niedźwiedzia, ani barana, jak myślicie, ale na pospolite szaraki. Na łowy te zjechało wielu (kucharz gotował tam pyszny bigos i kołduny) a pomiędzy liczną drużyną myśliwską i panowie dziedzice ze Ślepej Kiszki i Moczymordy.

Pan Domejko w sztuce myśliwskiej nie był ze wszystkiem wyedukowany, a przy nadarzających się działaniach zastępował biegłość dyplomacją. W danej chwili stanowczych i aktywnych czynów łowieckich z bronią w ręku, składał się i celował — celował długo i subtelnie, nie mogąc się zdecydować na pociągnięcie cyngla, mierzył i mierzył... aż wreszcie — buf!! — gruchnął przeciągle z dobrze wychlastanej kapiszonowej „sagalasówki“, gdy skopyra migał już tylko na horyzoncie i kiwając smykiem ze strzelca się naigrawał.

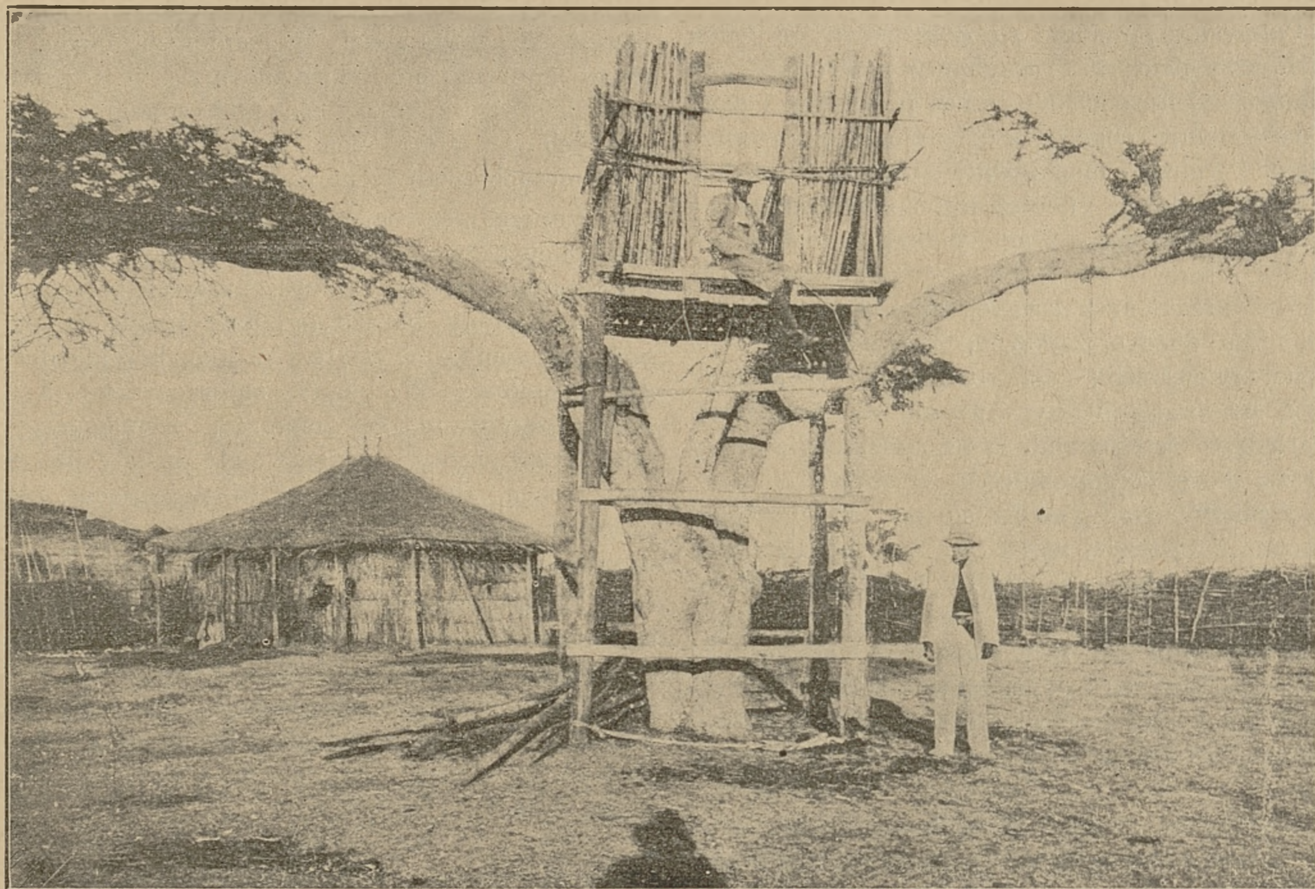
Ale uchodziło to wszystko in illo tempre! „Łowiec“ tkwił jeszcze w tajnikach siatki mózgo-

kawego. Szary piasek, czyli raczej gruby żwir, szare złomy skał, i szare krzewy, przeważnie karłowate i dziwacznie pokrzywione. Miejscami kępy trawy spalonej słońcem, równie bezbarwnej jak reszta krajobrazu.

Z Dire Daona wyszliśmy zaraz po południu, i przebywszy około piętnastu kilometrów rozbiliśmy obóz; bowiem wieczór się zbliżał, a ludzie i zwierzęta nie wprawieni jeszcze do marszów czuli pewne znużenie.

Ustawiono więc nasze dwa namioty i podczas gdy żołnierze z namaszczeniem oglądali i czyścili broń, somalijska służba zdejmowała juki z wielbłądów i mułów oraz zbierała gałęzie i rozpalała ogniska. Kucharz, któremu Wicek przyglądał się dość nieufnie, jął przyrządzać pierwszą w puszczy kolację.

Słońce wisiało już nisko nad ziemią, ale było jeszcze zupełnie jasno; ponieważ więc nasz zapas świeżego mięsa przedstawiał się skromnie, posta-



Odpoczynek po polowaniu.

wej Szanownej Dyrekcji Towarzystwa Łowieckiego, którego egzystencja znajdowała się też jeszcze w formacji embrjonu. Dzieła ballistycznego „O umiejętności strzelania“, z którego zapoznać by się można było z teorją strzału jeszcze p. Downar Zapolski ani p. W. Kwiatkowski nie ogłosili, nie wiedział więc pan Domejko kiedy i na jaki dystans strzelić, nie wiedział też co to strzał z celowaniem, z pociągnięciem, lub z rzutem — więc takich uchybień nie brano naówczas zbyt tragicznie, ani w Wielkopolsce ani na Litwie.

Pan Domejko z przyjemnością jeździł na wszelkie polowania, gdzie było wiwendy i bibendy poddostatkiem. Dobry wikt, a przedewszystkiem wiele bigosu, kołdunów zalanych krupnikiem. Do tego nie było potrzeba uczonych podręczników, własna praktyka wystarczała. Działania łowieckie interesowały go o tyle tylko, o ile nie potrzebował się nadwerężać i chociaż wiele gadając i renomując zaręczał „smykom“, iż ich wszystkich w kozi róg zapędzi, swoją drogą jak najchętniej i najdłużej przycupywał w kotlinie.

W Kitajgrodzie działo się podobnie i gdy wyruszono w pole i właśnie zakładając kocioł wysyłano strzelców na dwie strony, został pod pozorem jakiegoś zajęcia na wozie, ociągał się i marudził. Nie nowa to zresztą taktyka maruderów łowieckich.

A pan Dowejko?

Ten był dzisiaj niezwykle podniecony, a były

nowiłem go dokompletować ubiciem paru pentarek. Zamiar ten był niezmiernie łatwy do wykonania; trawy rosnące wkoło były pełne ptactwa.

Opuściłem obóz sam jeden, nie widziałem potrzeby zabierania swych strzelców. Grubszej zwierzyny nie mogłem się tu spodziewać, nie potrzebowałem więc zapasowej broni. Temperatura najzupełniej umiarkowana nie mogła mi przeszkodzić w niesieniu paru ptaków. Wreszcie, nie mając zamiaru czynienia dalszej wycieczki, nie obawiałem się, że zabłądzę.

Polowanie powiodło się doskonale: bez trudu zabiłem trzy pentarki i ruszyłem w powrotną drogę do obozu. Mrok snuł się już w powietrzu i osiadał nad ziemią chociaż niebo było jeszcze jasne. Szedłem wolno, machinalnie rzucając oczyma w prawo i w lewo, chociaż nie spodziewałem się ujrzeć nic ciekawego. Nagle jednak stanąłem jak wryty.

Pod krzakiem kolczastej mimozy coś się ruszyło. Coś dużego zapewne, bo trawy drgały na znacznej przestrzeni; jakiś ostrożnie przyczajony zwierz, bo czas dłuższy ruch się nie powtórzył. Zamarłem w oczekiwaniu, a przypuszczenia gnały mi przez mózg jak oszalałe.

„Szakal“... Nie! Ten by się tak tuż przy ziemi nie umiał spłaszczyć, widać by było ponad trawą jego grzbiet. Zresztą uciekł by już dawno. Więc może lampart?!

Zamieniłem się cały we wzrok i słuch; broń przylgnęła do mych rąk jak żywa istota. Pod krzakiem mimozy nieznany zwierz poruszył się znowu i popłynął śród traw niezmiernie wolnym falistym ruchem.

Nacisnąłem cyngiel. Słyszałem jak loftki uderzyły w twardą jakąś powłokę. Skoczyłem naprzód, stanąłem i roześmiałem się głośno.

Śród gęstej trawy leżał ogromny lądowy żółw. Loftki uderzywszy o tarcze, odbiły się od niej jak od skały, zraniwszy tylko w nogę biednego żółwia. Ale już w następnej chwili żółw dźwignął się na łapy, wysunął naprzód swój szeroki łeb, i powędrował dalej, kończąc tak niespodzianie przerwany wieczorny spacer. Pozwoliłem mu odejść spokojnie i zawróciłem do obozu na kolację.

25.I. Zmęczeni całodziennym marszem w nocy spaliśmy wybornie, tylko, jak to zwykle bywa w górach, temperatura nad ranem znacznie spadła, dochodząc do ośmiu stopni Reaumura, przyczem ukazała się obfita rosa. W namiotach, okryci ciepłemi kołdrami, nie odczuwaliśmy z tego powodu najmniejszej przykrości, ale podziwiałem czarnych śpiących na gołej ziemi, pod otwartem niebem i owiniętych tylko w niezbyt grube wełniane derki.

Poprzedniego wieczoru musieliśmy rozbić obóz w okolicy bezwodnej, to też nasz zapas tego cennego płynu zawarty w brezentowych worach, został podzielony bardzo oględnie pomiędzy członków karawany. Wystarczyło jednak tylko dla ludzi i mułów. Wielblądy, najpracowitsze, a najmniej szanowane, bo najmniej wymagające ze wszystkich jucznych zwierząt, nie dostały nic. Stękały trochę, ale jak twierdzili poganiacze, raczej z przyzwyczajenia, bo wstrzemięźliwość jednodniowa przychodzi im jakoby nadzwyczaj łatwo.

Przed wschodem słońca cały obóz był już na nogach, a wyruszyliśmy o świcie, kierując się w dalszym ciągu na południe. Droga znów wiodła pod górę, to też po kilku godzinach karawanę ogarnęło silne znużenie. Postanowiliśmy w pierwszem dogodnem miejscu urządzić postój, aż do jutrzejszego dnia.

Bronisław Gordziałkowski.

(D. c. n.)

---

do tego szczególne powody. W Taurogach na jarmarku kupił sobie od Icka Abrahama z syberyjskich baranów kożuch za 43 ruble i 75 kop, prezentując się w nim po raz pierwszy rzeszy myśliwskiej, był z siebie nadzwyczaj zadowolony, stał się nagle elokwentnym, pierwszy zeskoczył z woza i chodząc długimi krokami wszystkim go kolejno pokazywał.

Wówczas nie znano jeszcze hasła korporacji „chrześciańskiej“ „swój do swego”, nie wymyślano więc na pana Dowejkę o kupno kożucha u pejsatego Icka Abrahama — owszem wszyscy podziwiali, a już najbardziej i to nie bez pewnej zazdrości pan Domejko. Wszystko mu się podobało, i skóra, i kołnierz, i wierzch, i guziki — nawet w skrytości ślub czynił, że natychmiast nabędzie taki sam kożuch.

Gdy tedy wszyscy kolejno z wozu poschodzili, rozchodząc się na obie strony, zabrał się pan Dowejko za tym przykładem. Dla dość ciepłego powietrza jednak, a może, aby kożuchowi w kociołku nie nadarzyła się jaka zła przygoda, ułożył go pięknie obok wozu na miedzy.

Wtem aktywnie działające w nagance jakieś trzy Kaśki, czy trzy Marysie, wiodąc rozhowory, spłoszyły kota, poczem spostrzegłszy go, podniosły taki kwik, jakby z „panem pisarzem“ na słomie baraszkowały. Kot zrazu zamajaczył półkolem, ale marysinym krzykiem wielce przerażony, zwrócił się wprost ku naszemu wozowi, na którym jakby

Czary toków i ciągów tegorocznych na Polesiu.



raniczące tereny, wchodzące w skład dominium Tomaszgrodu, własności p. Stanisława Szyczewskiego, mieściły podobno kilka liczniejszych tokowisk cietrzewich. — Hr. Stecki skomunikował się listownie z właścicielem o zezwolenie zapolowania. Otrzymaliśmy, jaknajmilszą zezwalającą odpowiedź!

Oczywiście, mając i niezależnie od tego najszczerszą chęć złożenia swego „homagium" p. Szyczewskiemu o którem cała ludność okoliczna hymny zachwytu nad dobrocią jego, szeroko głosiła![1]) — udaliśmy się z hr. Steckim do Tomaszgrodu.

Prawdziwie ze staropolską gościnnością powitani przez ujmująco miłego gospodarza oraz Jego Małżonkę — otrzymaliśmy ponadto, zaproszenie by popróbować szczęścia nawet na głuszce, których już padło wiosną bieżącą aż 24 koguty!

Można sobie wyobrazić moje szczęście i wzruszenie! Zeszłego roku albowiem, tak się fatalnie z czasem moim ułożyło — że pozostałem pozbawiony rozkoszy nie tylko „podchodu" — lecz nawet usłyszenia czarownej pieśni[2]). A ponieważ rok każdy ubiegły bez tego zachwycającego, jedynego przeżycia — uważam za wykreślony z mego żywota na tym padole — groziło mi to jeszcze jednem rokiem więcej — rzetelnego „odmłodzenia"! A miałem niestety już aż trzy lata podczas wojny — oraz zeszłą wiosną — pecha podobnego!

Szkoda, że nie jestem piękną kobietą—w moich nieco już Balzakowskich latach przydała by się, dalipan, okrutnie owa kombinacja! Lecz przenigdy podobne źródło młodości nie rozraduje serca prawdziwego myśliwego!

Po tem zaproszeniu, iście po amerykańsku — tegoż samego wieczoru wybraliśmy się na tereny głuszcowe, leżące wśród rozległych mszarników i błot Tomaszgrodzkich — o jakie 12 kilometrów od rezydencji. Otrzymaliśmy w charakterze przewodników dwóch wytrawnych specjalistów, w osobach starego Pawła, włościanina tejże wsi, który po sąsiedzku podejmował się w razie potrzeby tych funkcji i jednego młodego gajowego bez prawej ręki i ramienia, co jednak bynajmniej nie przeszkadzało mu być wybornym strzelcem! Rzeźwość, animusz, ochota do pola, widoczna i gruntowna znajomość puszczy i jej tajników — aż tryskały z ócz i całej postaci sympatycznego młodzieńca! Zaiste! — dziwne to plemię — ten ród Polesia starego! Coprawda, małe już były moje nadzieje powodzenia głuszcowej imprezy, gdyż ostatnie dnie kwietnia, wczesne bardzo rozpoczęcie toków w tym roku, gorąca, prawdziwie letnia aura, nic dobrego nie rokowały! Jednakże i Paweł i gajowy twierdzili, że w wigilję dnia tego jeszcze — głuszce grały doskonale!

W każdym bądź razie żywiłem nadzieję na wieczorny chociażby, zwykły o spóźnionej porze — śpiew! Rozkosz noclegu przy ognisku w noc wio-

[1]) A nie jest to rzecz łatwa do osiągnięcia, śród poczciwych chłopków, propagandą nienawiści klasowej tak rzetelnie rozwydrzonych!

[2]) Mam, dzięki Bogu, już 66 tokowych głuszców — na rozkładzie.

---

tronując całej obławie, siedział zawsze jeszcze samotny pan Domejko. Teraz wszczął się nowy, a jeszcze wrzaskliwszy harmider — ostrzeżono strzelca!... Pan Domejko zerwał się na równe nogi i wcale zręcznie postawiwszy się w pozyturze, odwiódł kurki i wytknąwszy rurę, poważnie skierował ją ku szarakowi, jeszcze na 50 kroków oddalonemu.

Tymczasem kot, ogłuszony wielkim hałasem, skupił się i rwał w skoki co sił, położywszy słuchy po sobie i w największym pędzie kieruje się w sam środek wozu. Strzelec mierzy i mierzy, według własnej metody ciągnie strzelbą — rury nabierają kierunku coraz bardziej prostopadłego i — nasz wacho, gracz nie lada, smyk! — przejechał zdrów pod wozem...

Znowu okrzyki, ale coraz to weselsze. — O! nie będą mieli tryumfu! Pan Dowejko, widząc zajęczy fortel i klęskę towarzysza ze Ślepej Kiszki, spieszy z gotową strzelbą na pomoc. Ale i pan Domejko wykonał z podziwienia godną szybkością, któraby każdemu rekrutowi zaszczyt przyniosła, zwrot w lewo w tył ku przeciwnej stronie i — zaledwie zając z pod wozu wychylił słuchy „razem jakoby dwa kurki spuszczone jednym palcem u jednej dwururki", huknęły dwa strzały...

Ale cóż to za dym pomieszany z kurzem?

Z pod wozu unosi się jakaś chmura ciemna, jakoby perzu kupę zapalił.. O, św. Hubercie, ratuj! Obydwa strzały utkwiły w rozłożonym pięk-

senną czarów pełną — gdyż spóźniliśmy się już na „podsłuchy“ — rozmowy z leśnikami — i ten błogi stan ukojenia, jakby pod pieszczotą świętą ręki matczynej całego jestestwa — w roztoczy ognia paleniska — pod welonem gwiaździstym Niebios litościwie tak nas otulających!..

Herbata gorąca z zakąską i ten twardy sen, jedyny, niezrównany, — kiedy to płuca biedne, bakterjami miastowemi przesiąkłe aż „zjadają“ zda się, przepojone życiodajnemi pierwiastkami powietrze!

Dusza myśliwego — wówczas, nawet we śnie, składa dzięki Stwórcy za szczęście, że się oto leży w bezpośredniej styczności z Ojczystą Ziemią Polską — tylu uroków pełną!...

Niestety jednakże — o pierwszej w nocy — wstąpiwszy na tereny, tak żywo przypominające sławny „Mech“ Michaliński z rewirów Poleskiego Towarzystwa Myśliwskiego — spędziliśmy kilka i słyszeliśmy kilkanaście bardzo wcześnie zlatujących do głuszyc kogutów — rozkochanych „Urogallusów“ — lecz pieśni — nawet jedynego klapnięcia, nie słyszeliśmy wcale!...

Drugą noc spędziliśmy znowu na cietrzewiach— przy bardzo obfitem wylocie czarnych rycerzy. Urozmaiconą została pierwszą burzą wiosenną z deszczem ulewnym i salwą piorunów. Przemokliśmy do szpiku kości! Nastąpiły zatem miłe relacje, że podobno gdzieś około Józefina w Ordynacji Dawidgródeckiej — jakiś przyjezdny „kniaż czy graf“ — został ostrzelany, siedząc w budce cietrzewiej przez całe „gremium” — bandytów — z karabinów rosyjskich!

Lecz, czyż prawdziwy myśliwy, a jeszcze do tego należący do konfraterni wojskowej, z której obaj z hr. Steckim pochodzimy, zwykł zwracać uwagę na podobne bagatele? W okresie wielkiej europejskiej a następnie bolszewickiej wojny, czyż jedną noc w daleko gorszych warunkach oczekiwania przeżywaliśmy?—a przecież jesteśmy!...

Wieczorem drugiego dnia byłem na ciągu słonek. Jedną tylko słyszałem chrapiącą — drugą widziałem i ta ostatnia — bez życia padła od mego dalekiego bardzo strzału. Wogóle podobno ciągi słonek były bardzo słabe w roku bieżącym i bardzo mało ich wróciło z peregrynacji zimowej! Widocznie na skutek lekkiej zimy „dames au long bec“ — zatrzymywały się na czas dłuższy w krajach Środkowej Europy — a ta okoliczność jest fatalną dla ślicznych „scolopaxów“ Ile też ich ginie na Kaukazie i na wybrzeżach rosyjskich (dziś bolszewickich) Morza Czarnego — na tak zwanej „Kinburnskiej Kosie“ - półwyspie bardzo wąskim (w rodzaju naszego Helu) pod Odesą! Będzie to tematem jednego z moich przyszłych artykułów w naszym drogim „Przeglądzie“ (o szlakach wschodnich przelotów jesiennych słonek). Następny wieczór znowu zasadziłem z jakie dwanascie głuszców, lecz ani wieczorem, ani rankiem — nie grały... — Milczkiem w mrokach przedświtu do swych Julji — Romea o zielonych pancerzach zlatywały. Oczywiście toki się już zakończyły. Byłem zrozpaczony. Jedyną pociechą — miłe zaproszenie, jeśli Bóg da doczekać przyszłej wiosny w dobrem zdrowiu — gościnnego p. Szyczewskiego! Ukoiła ta perspektywa moją boleść i rozczarowanie łowieckie!

Więc do roku przyszłego — na mchy Tomaszgrodzkie!

Natomiast ranek w dzień odjazdu na rozległych błotach w budce na cietrzewie akordem wspaniałym pozostał w mej pamięci — akordem symfonji wiośnianej! Tokowało „multum” ognistych bojowców, lecz też daleko od budki i jak zwykle bywa, pod koniec sezonu — przenosząc miejsca tokowiska za każdem swem wylotem. Udało mi się, pomimo to, przerwać nić rozkoszy cietrzewich

---

nym kożuchu od pejsatego Icka Abrahama z Taurogów! — Teraz było aż trzech przerażonych! Tylko, że zając rwał co sił starczyło, wkrótce znalazł się w lesie, gdzie uspokoiwszy serce i nerwy, lizał swe skoki.

A panowie Domejko i Dowejko?

Wiecie państwo! Zdarzył się tu pierwszy raz ten niezwykły na polowaniu wypadek, iż trup leżał na placu, okazałe trofeum, do którego dwóch szczęśliwców paliło, a żaden się następnie nie chciał przyznać do rozkładu. Czy to już kto zasłyszał na świecie?

Nie przyszło więc panu Wojskiemu do rozrzynania i tak już potyranej skóry, ani do strasznego pojedynku „prawie rura w rurę“.

I cóż się tedy stało?

Dziedzice z Ślepej kiszki i Moczymordy jakoś pomiędzy sobą sprawę objektu w zgodzie i cichości załatwili i przekazali w spólnym interesie co prędzej rzecz całą niepamięci. I niktby o niczem nie wiedział i nie czytanoby o tem w ramotkach, gdyby nie te czarne charaktery przyjaciół. Oh! co ci nagadali przy kołdunach i krupniku...

Słuchać hadko...

Wł. Janta Połczyński.

dwóm liroogoniastym! Hrabia Stecki zdobył też jednego — z drugiej budki. Otoczenie, przepych gry kolorów i efektów świetlnych, obfitość walczących trubadurów — stwarzały nastrój myśliwski i przyrodniczy jedyny. — Rzadko w mej karjerze łowieckiej miewałem tak przepiękne przeżycia!

Wyobrażam sobie rozkosz letnich godzin myśliwskich wśród tego otoczenia błot, mokradeł i brzeźniaków ze swym wiernym legawcem spędzonych zdala od ludzi złego miasta i całej ich neurastenji!

Żyję nadzieją tych chwil błogosławionych, o których naturalnie nie omieszkam zdać relacji szczegółowej łaskawym Czytelnikom w swoim czasie.

A tymczasem gościnny właściciel czarownych terenów p. Stanisław Szyczewski i cały dom Jego raczy przyjąć serdeczne Praojców naszych „Bóg zapłać“ — za puhar łowieckiej radości orzeźwiającej—spełniony, z największą wdzięcznością przez skromnego adepta Św. Huberta — kresowca, tyle spragnionego prawdziwie szerokich uciech myśliwskich — nic wspólnego z fałszem i obłudą wielkomiejską nie mających.

Piłem z tego zdroju! — Kubkiem szczerozłotym! Dzięki.

Adam hr. Rzewuski.



Dlaczego zwierzostan u nas upada?

Pod takim tytułem pomieszczony został w Nr. 11—12 „Przeglądu Myśliwskiego“ artykuł pana Seweryna Cichowskiego. W artykule wspomnianym słusznie autor ubolewa (co dla myśliwych bynajmniej tajemnicą nie jest), że u nas zwierzostan upada. Przyczyny jednakże tego zjawiska bierze zbyt jednostronnie. A co najgłówniejsze nie wskazuje środków do zapobieżenia złu. Z tej więc racji poruszony temat wymaga pewnych wyjaśnień. Pewnego bardziej definitywnego omówienia rzeczy.

W myśl więc tego ośmielam się prosić Pana Redaktora o łaskawe pomieszczenie w redagowanym przez się dwutygodniku poniższych moich uwag, w przeświadczeniu, że temat interesuje ogół pp. myśliwych.

Przedewszystkiem więc pan Cichowski jako pisarz stara się być poetą i prowadzić czytelnika w sferę obłoków w bory i knieje i napawać ich rozkoszą myśliwską z przed dwudziestu pięciu lat, kiedy to na dwa obszerne powiaty okolica liczyła z trudem zebranych kilkunastu myśliwych, a polowali z pośród nich tylko posiadacze obszernych terenów leśnych. Podczas gdy dzisiaj poluje każdy właściciel majątku, wszyscy nauczyciele ludowi, organiści a nawet kolejowi kasjerzy.

Ja dodam od siebie i bardzo wielu innych, którym stan zamożności na to pozwala i czas wolny od pracy, a którzy z przyrodą tyle mają wspólnego, że są posiadaczami broni myśliwskiej i milej im w jej towarzystwie znajdować się wśród pól i łąk, aniżeli gdzieś w brudnej zatruwającej zdrowie knajpie, ja w tym nie widzę nic złego, choć oczywiście z tego powodu zwierzyny nie przybywa.

Szanowny autor, gdy pisząc swój artykuł zechciałby zstąpić z obłoków na ziemię, to musiałby pójść z życiem naprzód i musiałby przedewszystkiem stwierdzić, że w tych już dziś czasach zamierzchłych — niebyło sportu, niebyło w dzisiejszym pojmowaniu (którymi się sam zachwyca) myśliwych były jeno wielkopańskie zabawy, dostępne dla bardzo nielicznych przez los wybranych jednostek.

Dziś czasy są inne i wymogi życia także, dziś nietylko szczęśliwi wybrańcy, lecz wszyscy obywatele roszczą sobie zupełnie słusznie pretensję nie tylko do jakiegoś szaraka, ale do całej przyrody.

Dziś właśnie, w dobie odradzającej się Oj-

czyzny, w dobie wszelakiego rodzaju sportu i ćwiczeń fizycznych, które stają się objawem zdrowia duchowego, niewypada wprost kagańca nakładać komuś, kto dąży do szlachetnych porywów, a więc i do myślistwa. Ponadto niech jeno Szan. Autor zada sobie trud dowiedzenia się, że przed 25-u laty jedynie stolica posiadała pięć zakładów z bronią: Torchalski, Ziegler, Ronczewski, Lisowski i jeszcze ktoś, podczas gdy dziś rejestrowanych w stolicy mamy 15 a przynajmniej 2 razy tyle na prowincji, których przedtym nie było zupełnie. Widzimy więc, że nietylko sport się rozwinął, ale przemysł puszkarski i handel, a skarb państwa, z tego tytułu czerpie pokaźne dochody. Z tego więc wynika, że ta godziwa rozrywka kulturalnego człowieka jaką znajduje w myślistwie, ma również i duże znaczenie w gospodarce kraju i to jest dla mnie ważne, czego bagatelizować nie należy.

Nie wiem czy prawda jest jak cytuje pan Cichowski, że za czasów Nerona tańczono „shymmy lub grano w tenisa". Ale mocno wierzę, że podnieść zwierzostan w Polsce można innymi bardziej radykalnymi środkami, aniżeli posłanie na dno do piekła wszystkich tych myśliwych którzy nieposiadają w Opatowskiem czy Sandmierskim powiecie swoich obszernych leśnych terenów. Podług mnie trzy czynniki odegrać mogą decydującą rolę w podnoszeniu się zwierzostanu. Przedewszystkiem więc: skrócenie terminu polowania, dalej bezwarunkowe zabranianie rzeźni w kotle, w końcu najsurowsze tępienie kłusownictwa i wnykarstwa wogóle. Tego jednak uczynić nie może jednostka, ani nawet jakieś stowarzyszenie myśliwskie. Tu walkę muszą podjąć ustawy prawodawcze i do tego wszyscy musimy podążać, kto naprawdę zaszczytnie pragnie być myśliwym.

Teraz jeszcze słów kilka o myśliwych i strzelcach. Podług mnie, myśliwych trzeba dzielić na dwie kategorje. Myśliwy, miłośnik przyrody i hodowca, ten może nawet nie być strzelcem lub z zasady nie strzela, jednak zabiega, by na jego terenie zwierzostan kwitł i to jest jego ambicją i dumą i Myśliwy, który nie mając terenów własnych uprawia myślistwo na terenach obcych, lecz nie jako strzelec, który nie gardząc niczem zabija wszystko, lecz tylko to, co mu jest potrzebne; to mu też prawdziwą sprawia przyjemność ubić wydeptanego szaraka lub strącić podrywającą się kurę, nie przekracza jednak prawie nigdy koniecznej maksymy.

Wreszcie idzie typ strzelca. Ten jest o tyle niebezpieczny, że jeżeli niekrępowany rygorem jakiejś korporacji — strzela do wszystkiego nawet i sąsiadom nieraz krzywdę wyrządzić może. Na szczęście jednak są to nowicjusze, gdy dostaną w swą dłoń broń, rozkoszują się aż do syta, aż dopokąd nienauczą się celować, a potem strzelać, no i co zatem idzie dopiero zabijać, z tą też prawie chwilą zaczynają pozować na prawdziwych myśliwych, których już obowiązuje pewna etyka i myśliwska moralność.

Tak więc tedy słusznie robi ten, kto bije na alarm, gdy zaznaczy że dzieje się źle, lecz stokroć słuszniej będzie, gdy w sposób pożyteczny bez uprzedzeń sam złu przeciwstawiać się zacznie.

W. Swobodziński.

HODOWLA BOBRÓW.

W Nr. 13—14 „Polskiego Drobiu". Redaktor M. Trybulski podaje cenne wiadomości o hodowli bobrów, mówiąc o wyborze terenu, żywieniu, rozmnażaniu i użytkowaniu bobrów.

Hodowlę zakładać najlepiej w miejscowościach pagórkowatych, obfitujących w wodę i porośniętych topolą i osiną. Teren musi być ogrodzony. Bobry tam mieszkają w domkach z drzewa. Najulubieńszym ich pokarmem jest osina. Przestrzeń o powierzchni 640 akrów porośnięta osiną wystarczy na wyżywienie 1000 sztuk bobrów przez czas nieograniczony. Liście i łodygi lilji wodnych są ulubionym przysmakiem bobrów. Bobry jedzą również chleb oraz ziarno.

Schwytane małe bobry można wychować na odtłuszczonem i przegotowanem mleku krowiem. O potomstwo bobry troszczą się same. Samica znosi troskliwie potomstwu zielone roślinki.

Bóbr poza cennem futrem (ciemne są najwartościwsze) dostarcza jeszcze świetnego mięsa.

Importować bobry do Polski najlepiej z Norwegji. Jako pożywienie w drodze służą gałązki osiny lub leszczyny. Nie można zapominać o poidełku z wodą przytwierdzonem w klatkach transportowych.

Może kto z myśliwych zachęcony artykułem red. Trybulskiego rozpocznie u nas hodowlę bobrów? Tereny, zwłaszcza na Wschodzie naszego kraju, posiadamy świetne. Hodowla dobrze poprowadzona na ziemiach, będących odwieczną ostoją bobra, niewątpliwie dałaby świetne wyniki, ratując od zagłady tego niesłychanie ciekawego zwierza, świadka dziecinnych lat naszej starej ziemi.

Polesie nadaje się do tego znakomicie.



Wskazówki przy urządzaniu strzelnicy.

Strzelnica do urządzania konkursów z karabinków małokalibrowych kal. 22 bocznego ognia (6 mm.) i pistoletów winna mieć tor długości 50 mtr, licząc od barjery do tarczy. Szerokośc toru 6—8 mtr. odległość pomiędzy tarczami 1,5—2 mtr.

O ile strzelnica przez długość całego toru nie jest pod dachem, to należy za barjerą w stronę tarcz 1 mtr. urządzić chwytnicę t. j. ścianę wiszącą prostopadle, która winna mieć dwie ściany z desek oddalonych od siebie — 30 cm. wypełnione wewnątrz piaskiem, gliną lub ziemią, umocowaną od poziomu podłogi 1,60 mtr.

W miejscach, gdzie będą oznaczone stanowiska (vis a vis tarcz), palisada z wycięciem 10 cm. długości i 10 cm. szerokości tak, aby strzelec stojąc przed tym wycięciem mógł widzieć strzelając tylko tarczę.

W odległości 10 mtr. za barjerą 2-ga taka chwytnica z otworami szerszemi i tak wysoka, aby przy maksymalnym zgórowaniu kula w niej utkwiła.

Ludzie obsługujący tarcze muszą być absolutnie zabezpieczeni. Przechodzenie przez tor strzelnicy musi być uniemożliwione. Komunikację urządzić należy po za boczną ścianą strzelnicy.

Przed tarczami, w końcu strzelnicy musi być wykopany rów 1,5 — 2 mtr. szeroki 1,90 mtr. głęboki, o ile można dłuższy od szerokości toru strzelnicy 1 — 2 mtr. ze strony, gdzie wchodzi obsługa tarcz, aby człowiek wchodząc do rowu nie był widziany ze stanowiska przy barjerze.

Dla sygnalizacji przeprowadzony dzwonek.

Tarcze urządzone na drewnianych słupach, blokowym systemem, zawieszone na lince; ściągając jedną na dół drugą gotową podnosić do góry.

Przy konstruowaniu tarcz należy unikać używania części metalowych od strony stanowisk, jeżeli są konieczne, trzeba pokryć drzewem, gdyż stałe, a nieobliczalne rykoszety t. j. odbicie się kuli o część metalową (łebek gwoździa i t. p.) może skaleczyć człowieka obsługującego tarcze.

Od strony stanowiska pożądane jest zakrycie rowu daszkiem z desek, szerokości ½ mtr. dla zabezpieczenia człowieka z góry podczas strzelania

Na tarcze robi się zwykłe drewniane kwadratowe ramy, pokryte dość grubą tekturą, na której umocowuje się tarcze papierowe (cele).

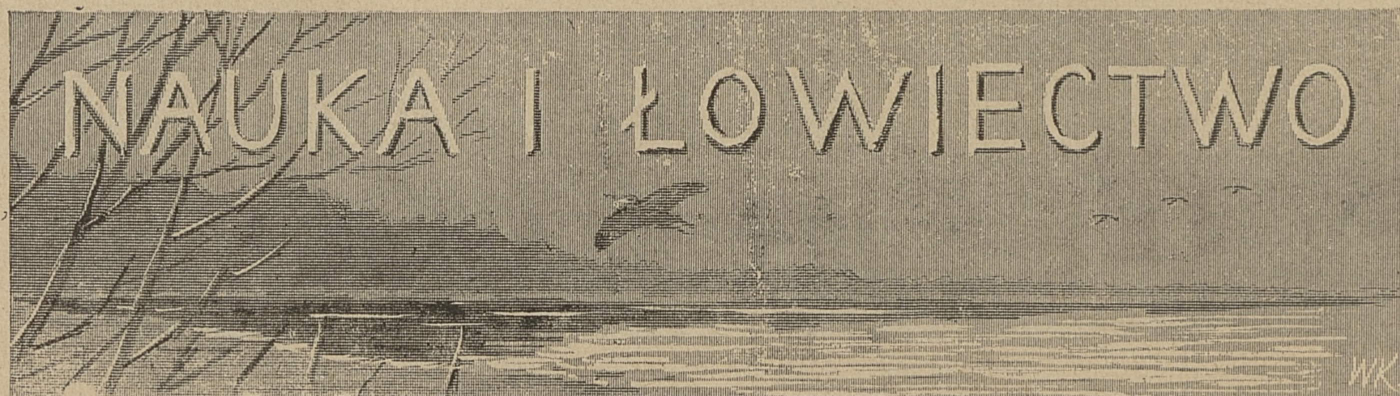
Po za tarczami w odległości 1 — 2 mtr. winien być usypany wał odpowiedniej wysokości, z powierzchnią oczyszczoną od strony terenu (usunięcie kamieni i t. p.) celem uniknięcia rykoszetu. Dobrze jest obłożyć takowy darniną lub obsiać trawą.

Podawanie tarcz strzelającemu uskutecznia się za pomocą 2 kółek — ½ mtr. z których jedno umocowane jest ua ścianie strzelnicy, przy barjerze, drugie w dole przy tarczach, tak aby człowiek obsługujący tarcze, mógł wysyłać strzelającym takowe, w specjalnie wykonanym w tym celu kanale, wzdłuż toru strzelnicy, ze spadkiem w stronę tarcz. Na drugie kółko założona druciana linka, na którą zaczepia się tarcze za pomocą haczyków, a obróciwszy kółko tarcza idzie ku barjerze do strzelającego.

Podłoga toru może również spowodować rykoszety w wypadkach zdołowania, o ile więc strzelnica nie posiada ścian bocznych i dachu trzeba zabezpieczyć się wykopaniem w ziemi prostopadłych zębów, z takim spadkiem w stronę tarcz, aby kula wystrzelona ze stanowiska przy barjerze trafiła możliwie w dół pod prostym kątem t. j. w ścianę zęba prostopadłą a nie w grzbiet, gdyż wtedy tylko uniknie się rykoszetów.

Można również urządzić strzelnicę tak, aby strzelający sam zakładał i zdejmował tarczę. W tym celu przeprowadza się wzdłuż strzelnicy od stanowiska (ód barjery do końca strzelnicy) druty 3—5 mm, zawiesza się na nich tarczę na rolkach, umocowuje jedno kółko odpowiedniej średnicy przy barjerze, drugie na końcu strzelnicy połączone drucianą linką w ten sposób, że strzelający zakręciwszy kółko w odpowiednią stronę, może oddalić lub przybliżyć tarczę. Obsługa wtedy jest zbyteczną.

Czesław Lisowski.



SOKÓŁ WĘDROWNY.

(*Falco peregrinus calidus*).

2

Żywi się przeważnie jaskółkami, które porywa z drutów telegraficznych i owadami. Na zimę zwykle odlatuje na południe.

Pokrewnym pustułce jest sokolik-kobczyk, czerwononogi, sokół-rdzawonóg (falco vespertinus) żywiący się prawie wyłącznie owadami, które zgrabnie poławia w locie podczas ciepłych jesiennych wieczorów. Pojawia się u nas w pierwszej połowie października, ciągnąc kolonjami przez Polskę na południowy wschód odwiecznemi szlakami, do jakich należą jary lewobrzeżnych dopływów Dniestru w okolicach Niżniowa, Zaleszczyk, Kamieńca Podolskiego. Obserwowałem go tam na jesiennych przelotach przez lat kilka z rzędu. Jest typowym ptakiem dla stepów; sprzyja mu zarówno klimat stepowy, jak bogaty tamtejszy świat owadów. Okrywa go jednolity ciemno-popielaty płaszcz, zdobi żółtawe podbrzusze, płomykami znaczone, odszczególniają zaś czerwona woskówka, czerwone powieki i pomarańczowe odnóża. Jak pustułka, tak i on lubi siadać na przydrożnych drzewach i drutach telegraficznych. Jest bardzo pożyteczny i zasługuje na ochronę.

Obserwowałem jeszcze inne sokoły, wielkości gołębia o ciemno-popielatym płaszczu, bronzowem podbrzuszu, z dużą rudawą plamą na karku i z czarnemi bokobrodami, żywiące się przeważnie szpakami, na które umieją zręcznie polować. Widywałem je na jesiennych przelotach w okolicach Zaleszczyk. Uderzały na szpaki z niesłychaną zapalczywością. Należą do drapieżców dość rzadkich w Małopolsce. Zaliczyłbym je do sokołów-kobuzów (falco subbuteo, dendrofalco).

Z wielkich sokołów, zalatujących niekiedy do Polski na zimę, wymienić należy jeszcze raroga i białozora.

Raróg (falco lanarius, sacer), którego wizerunek widnieje w tekście jest dużym sokołem i należy z powodu swej u nas rzadkości do wielkich osobliwości ornitologicznych. Znali go już starożytni Rzymianie i czcili jako ptaka wieszczego. Dochodzi wielkości gołębiarza, a bywa i większy. Dziób i szpony miewa błękitne, płaszcz ciemnobronzowy z rzadkiemi, jaśniejszemi na potylicy plamkami. Tylko podgardle jest u niego, jak wogóle u wszystkich sokołów prawie białe lub słabo znaczone. Uchodził niegdyś za doskonałego myśliwskiego ptaka w polowaniu na dropie i łabędzie. Polowano z nim na Podolu i Ukrainie na żórawie, czaple, dropie, dzikie gęsi i łabędzie od wczesnej jesieni do pierwszych śniegów. Cechuje go wielka zapalczywość, a poniekąd i okrucieństwo, gdyż rozszarpuje zdobycz, jeszcze żyjącą. Z powodu rzadkości i pięknej postawy wzbudzał sensację.

Białozor (falco candidus, gyrfalco, falco islandicus) albo sokół islandzki należy bezsprzecznie do najpiękniejszych przedstawicieli swego rodu. Jest duży, bo dorasta do 67 cm. długości, a w rozskrzydlu dochodzi do 120 cm. Długość skrzydła od ramienia do końca najdłuższej lotki mierzy przeszło 40 cm. długość ogona 28 cm. Woskówka i skoki są żółte. Wierzch ciała jednostajnie szaro-popielaty, upstrzony błękitno-popielatemi pręgami, spód biały zrzadka poprzecznie prążkowany. Pod okiem widać pas ciemny, słabo znaczony. Na starość bieleje zupełnie. Być jednak może, że na dalekiej północy np. w Grenlandji lub na Labradorze są te ptaki odrazu białe i że prawo mimicri stosuje się tam i do sokołów. Nogi białozora upierzone są po same szpony. Sokół ten należy u nas do wielkich rzadkości i zjawia się jeszcze rzadziej, niż raróg. Przelatuje tu i ówdzie na jesiennych

przelotach, nie zatrzymując się jednak nigdzie dłużej. Gnieździ się na dalekiej północy w Islandji, Grenlandji, na Labradorze, na archipelagu Nowej Syberji i t. d. Należał niegdyś do ulubionych łowieckich ptaków, szczególniej u Anglików, Holendrów, Francuzów i Niemców. Okaz, zabity pod Siedlcami w r. 1874, znajduje się w gabinecie zoologicznym w Warszawie.

Z innych drapieżników, zaliczanych do sokołowatych, wymienić jeszcze trzeba oba gatunki myszołowów: zwyczajnego (buteo vulgaris) i włochatego (archibuteo lagopus). Oba jednakowo wielkie i jednakowo upierzone, chociaż pierwszy ma więcej białych plam na podbrzuszu. Odróżnić je łatwo, bo myszołów włochaty ma nogi upierzone po palce. Oba latają powoli, a siadają tylko na wierzchołkach samotnie stojących polnych drzew, nigdy zaś nie sadowią się na dolnych konarach lub w pobliżu pnia, jak to czynią gołębiarze. Żywią się tylko myszami, nornicami i innemi gryzoniami, wskutek czego są bardzo pożyteczne i zasługują na ochronę bez zastrzeżeń. Widywałem często stadka kuropatw, żerujących na śniegu w pobliżu polnej gruszy, na której siedział flegmatyczny myszołów który nie zwracał najmniejszej uwagi na zagrzebane w śniegu i drzemiące kury. Widywałem i zające, kipiące w stronę myszołowa, który na widok szaraka wzlatywał, nie interesując się nim wcale. Być może, że czasem na wiosnę porwie myszołów młodego zajączka przez omyłkę, ale tę małą nielojalność wobec myśliwego można mu darować. Widziałem przed dwoma laty, jak myszołów włochacz, który z powodu śnieżnej i ostrej zimy ulokował się w miejskim parku, rozszarpywał strzelane umyślnie dla niego wrony i kawki. Czynił to jednak z konieczności, nie mogąc upolować myszy. W żołądkach i kiszkach ubitych przeze mnie myszołowów znajdowałem zawsze tylko resztki myszy i nornic. Uważam, że myśliwy, strzelający do myszołowa, popełnia co najmniej nietakt myśliwski. Jest dobrze, że ptaki te są dość ostrożne i że nie dają się tak łatwo podejść. W razie przeciwnym pozbylibyśmy się bardzo prędko najlepszych naszych przyjaciół, a plaga myszy byłaby jeszcze częstsza.



Sokół raróg (falko lanarius sacer).

Myszołów pospolity jest ptakiem lęgowym u nas, natomiast włochaty gnieździ się na północy, a zimuje w środkowej Europie.

Władysław Gürtler.

(*D. c. n.*).

KROGULEC JAKO SĄSIAD.

(*Dokończenie*).

Pisklęta krogulca były w białych puchach. Na mój widok odzywały się głośno. Głos ich przypominał bardzo kwilenie starych okazów. Samica im zaraz wtórowała, jednak nie przyleciała. Na boku zauważyłem dwa małe oskubane ptaszki, wielkości trznadla. Oderwałem kawałek mięsa z piersi i pokazałem je jednemu z młodych drapieżców. Natychmiast wyrwał mi mięso z ręki i połknął. W pieleszu widziałem tylko kości małych ptasząt, większych, naprzykład wielkości go-

łębia, nie zauważyłem, widocznie morzy samica większe ptaki jedynie na własną potrzebę. Zresztą mniejszych ptaków dostarcza samiec jako pożywienia dla piskląt. Samica zajmuje się przeważnie opieką młodych, rzadko oddalając się od pielesza, a jeżeli to czyni, to aby dla siebie coś upolować. Mojej sąsiadce właśnie przydały się moje starannie chowane gołąbki rasowe, które jej dały możność w krótkim czasie się pożywić i do pielesza powrócić. Temu jednak chciałem zapobiedz, gdyż nie miałem najmniejszej ochoty moje gołąbki dla krogulca hodować, choć zresztą byłem z takiego sąsiedztwa zadowolony. Od dziecka bowiem lubiłem ptaki drapieżne i od dawna chciałem mieć oswojonego.

Raz też przyniósł mi nasz pasterz młodego myszołowa, który za wcześnie uwierzył w swą siłę i przytem zleciał na miękki mech. Z niezmierną radością przywitałem wtedy ten królewski dla mnie dar, lecz nie długo miałem się nim nacieszyć. Karmiłem go żabami i myszami, które chętnie pożerał. Oswoił się nawet do tego stopnia, że gdy gwizdałem przyleciał, raczej przybiegał na ziemi bijąc lotami, i wyrywał mi mysz z ręki. Nie chcąc go wolności pozbawiać, wsadziłem go do ogrodu. Ale jak słusznie przysłowie mówi: „Niewdzięczność jest zapłatą świata“, tak i on mnie niewdzięcznością nakarmił. Póki był za słaby, by płot przelecieć i sam sobie pokarmu dostarczyć, tak długo udawał oswojonego, lecz gdy tylko poznał, że owe myszy, które mu przynosiłem, sam złapać potrafi, gdy tylko uniósł się w wyższą atmosferę i poczuł wielkość świata, poleciał wysoko w powietrze, by już nigdy do swego dobroczyńcy nie powrócić. Wprawdzie zjawił się jeszcze kilka razy w pobliżu domu, nawet powracał do ogrodu, ale już nie zważał na moje gwizdanie, ani nie brał pokarmu z mej ręki.

Drugim razem odkryłem pielesz sokoła wędrownego. Jakże cieszyłem się wtedy, widząc w myślach już sokoła oswojonego na mej pięści. Atoli radość ta jak często w życiu bywa, była za wczesna. Nie uwzględniłem położenia pielesza. Sokół królował na ogromnie wysokiej sośnie, a tak gładkiej, bez żadnych sęków, że jedynie wiewiórka i kuna leśna mogły się na nią wdrapywać. Prosiłem robotników, obiecywałem nagrody daremnie. Przybyli, spojrzeli i trzęśli głowami. Chyba ten, który by posiadał skrzydła Ikara mógłby się tam dostać! Musiałem się pocieszyć.

Później nareszcie udało mi się chwycić dwie młode sroki; jedna zdechła niebawem, druga oswoiła się i przez trzy miesiące towarzyszyła mi prawie wszędzie, gdzie się ruszyłem. Pewnego razu jakiś zazdrosny szczur przegryzł jej szyję i pewnego rana tak ją znalazłem. Wtedy poprzysiągłem sobie zemścić się nad szczurami i wszystkiemi możliwemi sposobami zacząłem je tępić. Ale cóż to pomogło, nic mi mojego nieodżałowanego „Jakóba“ nie mogło powrócić. Dlatego, gdy teraz znalazłem ląg krogulca, zaraz przyszło mi na myśl młode oswoić. Jednak przypomniało mi się, że krogulec to gołębiarz w zmniejszonym rodzaju, a tego zaś zalicza się do najdzikszego gatunku ptaków drapieżnych, nie nadającego się wcale do oswajania. Myślałem więc, że z krogulcem to samo.

Niestety za późno się dowiedziałem, że krogulec przeciwnie nader łatwo się oswaja, a z samicą, jeżeli się ją odpowiednio ułoży, nawet dobre wyniki na polowaniu osiągnąć można. Ale wróćmy do mojego sąsiada. Ten, skoro raz pokosztował moich gołąbków, wrócił, jak już powiedziałem, drugi raz, i wnet znikł mi mimo najtroskliwszej opieki i trzeci gołąb. Bez wątpienia miał on i tego na sumieniu.

Następnego dnia (minął znowu dobry tydzień) znowu go odwiedziłem. Samica jak zwykle swem przeraźliwem „pyjjk, pyijk“, mnie przywitała. W młodych dzisiaj już wyraźnie mogłem poznać krogulce. Z białych puchów ukazały się wyraźnie czyste piórka z brunatnemi kreskami poprzecznemi. Na boku znów spostrzegłem dwa małe oskubane ptaszki, była tam widocznie śpiżarnia krogulca. Udałem się do domu. Gołąbki, które teraz tylko pod moim nadzorem puszczałem, uwolniłem z więzienia, by się przez godzinę wolnością nacieszyć mogły. Ptaki nieprzyzwyczajone do długiego więzienia, jakiego teraz z powodu krogulca doznały, poleciały wielkiem kołem kilka razy około leśniczówki, poczem usiadły na polu. Raptem z pobliskiego lasu zbliżył się nisko nad ziemią lawirujący jastrząb. Gołębie zerwały się, dążąc ku bliskiemu domostwu. Jeden z nich, który nie zauważył zawczasu grożącego niebezpieczeństwa, spóźnił się nieco z ucieczką; dość wielka przestrzeń oddzieliła go od reszty stada. Naprężył teraz wszystkie siły, by owe spóźnienie wyrównać i ujść niebezpieczeństwu. Niezmierną szybkością, gwałtownie bijąc skrzydłami, gołąb jak strzała przeleciał przez gęste powietrze. Zanim pędziła śmierć niechybna z taką szybkością, że po kilku sekundach znalazła się tuż przy swojej ofierze. Ta czując, że jest stracona, chwyciła się ostatniego sposobu ocalenia. Nagle prosto jak strzała poleciała ku niebiosom, coraz wyżej i wyżej. Za nią także lotem niedościgłym zuchwały napastnik, w którym teraz poznałem mojego sąsiada. Już dogonił gołąbka, już go wyrównał, jednak uniósł się jeszcze wyżej, tak, że zostawił gołąbka niżej siebie. Ten, widząc wroga ponad sobą, pędził na ziemię, za nim ścigający go

jastrząb. Jedno jeszcze lekkie poruszenie lotami, i krogulec wbił swoje szpony w grzbiet ofiary, na której jechał z podwójną chyżością ku ziemi. Ztąd spieszył do lasu, gdzie naprzód odpoczął, a potem wraz ze zdobyczą znikł. Mnie owa scena tak zachwyciła, że zupełnie zapomniałem o ocaleniu mego gołąbka. Dopiero teraz gniewałem się, że ofiary nie wyratowałem. Jednak moja cierpliwość się wyczerpała. Wnioskując zatem, że o ile krogulec dalej w ten sposób będzie atakował gołąbki, to mogę się spodziewać, że po dwóch tygodniach załatwi się z całem mojem stadem musiałem temu zapobiedz. Nazajutrz rano udałem się w tym celu z moją 28 kalibrówką do pielesza. Samica nie widząc niebezpieczeństwa, pozwoliła mi się zbliżyć na 20 kroków. Z tej odległości strzeliłem do niej, będąc pewny o trafieniu jak i o śmiertelnym skutku mego strzału. Jednakże okazało się, że po strzale znikła, jak piorun, a dla mnie pozostawiła tylko jedno pióro, które zachwiało się w powietrzu, niby płatek śniegu. Lecz właśnie owo pióro nic dobrego nie wróżyło, bez wątpienia była postrzelona. Nie mogłem sobie wytłumaczyć, jakim sposobem na tak bliską metę na miejscu nie została wogóle, ponieważ moja 28 kalibrówka silnie biła. Niedowierzając takiemu fatalnemu spudłowaniu, szukałem w pobliżu z psem, lecz bez wyniku.

Następnego rana poszedłem znowu do pielesza, sądząc, że o ile żyje musi wrócić do swoich piskląt. Tu nie spostrzegłem jej, dopiero gdy odchodziłem zerwała się nad moją głową z drzewa, szybko znikając. Lot jej nie zdradzał wcale, że była postrzelona, lecz zrywanie się jej z drzewa sprawiało jej trudości. Jednakże cieszyłem się, że ją tak dalece zdrową zobaczyłem, gdyż robiłem sobie wyrzuty, że sobie strzał ten tak lekceważyłem, przez co krogulec musiał cierpieć. Później jeszcze kilka razy ją widziałem, ale już nigdy nie wróciła ani do pielesza, ani po moje gołąbki. Ten jeden jedyny strzał spowodował, że zaniechała odtąd zupełnie swoich obowiązków względem młodych. Raz obserwowałem jeszcze pielesz pod wieczór, sądząc, że przynajmniej na noc wróci. Czekałem do późnej nocy, tylko samiec nadleciał, o samicy ani mowy; samiec od tego czasu sam karmił młode. Byłem teraz niepewny, co zrobić z młodemi i samcem. Żal mi było te śmiałe ptaki zgładzić, a znowu uważałem to za konieczność, wyobrażając sobie, jaką szkodę w przyszłości będą wyrządzać. Samiec młodym dziennie 5—6 małych ptaków dostarczał. Wahałem się z wykonaniem tego, zwlekając z dnia na dzień. Gdy nareszcie zdecydowałem się je wytępić i przybyłem do pielesza, okazało się tu, że młode już się zwiodły. Szukałem, mniemając, że się w pobliżu jeszcze znajdują. Wkrótce też usłyszałem kwilenie młodych. Zatem ostrożnie się zbliżyłem, a byłbym ich też niezawodnie podszedł, gdyby nie samiec, który w tej chwili przyleciał, i ostrzegł je. Dwa młode uciekły.

Pięćdziesiąt kroków — za daleko na strzał dla mojej 28 kalibrówki. Wtem trzeci młody, który bliżej ku mnie siedział i którego dotychczas nie zauważyłem, zerwał się w odległości 40 kroków. Złożyłem się i pociągnąłem za cyngiel. Strzał padł, grad śrutów rzucił krogulca na ziemię. Dwa pozostałe i samiec już mi nie dały sposobności do strzału. — Gdy się później dowiedziałem, że krogulec nadaje się do oswojenia, żałowałem, że z tego nie skorzystałem. Ucieszyłem się zaś, że tylko jednego ubiłem, gdyż mam nadzieję, że dlatego w tym roku znowu jaki pielesz krogulca znajdę.

Kobuz bowiem i krogulec (nie licząc myszołowa) są jedynemi ptakami drapieżnemi, które się w tutejszym rewirze gnieżdżą. Często zjawi się tu też gołębiarz, nawet rybołów i orzeł bielik, jednak tylko pojedyńczo, i przybywają na krótszy czas. Rzadziej już spotyka się sokoła wędrownego. Jeżeli się zaś moje zamiary co do odnalezienia pielesza i oswojenia młodego krogulca spełnią, chętnie czytelników o wyniku uwiadomię.

E. R.

POLOWANIE NA KAPIWARY.

(*Dokończenie*).

W kilka dni potem wybrałem się na łowy z synem egzotycznego rodaka, młodym szesnastoletnim chłopcem, znającym pobliskie lasy, jak własną kieszeń.

Najlepszą porą na polowanie jest czas przed samym wschodem słońca, gdy zaczyna się świt. Zwierzyna wraca podówczas syta z nocnych łowów do swoich legowisk i, jak każda syta istota na świecie, jest skłonna do optymizmu, przypuszając, że na tym najpiękniejszym ze światów nie może jej nic złego grozić. Optymizm ten przypłaca się najczęściej srogo, a wszelkie żale bywają spóźnione.

Od chaty kolonisty do rzeczki Rio Xaxim było dobre cztery kilometry; tam własnie lubiły przebywać kapiwary. Jakby na usprawiedliwienie nazwy strumienia (xaxim znaczy w języku krajowym paproć drzewiastą) cały las za podszycie miał wielkie paprocie sięgające wysokości kilku metrów. Na szczęście, od rzeki wiodła ścieżyna, gdyż inaczej przedrzeć się przez dżunglę byłoby prawie niemożliwe ze względu na sieć ljan, tworzących nieprzebytą zaporę w postaci zielonej, elastycznej ściany.

Po drodze wypłoszyliśmy dwie kutije (dasyprocta aguti), zwierzątka wielkości średniego zająca, do których jednak nie strzelałem, aby nie płoszyć kapiwarów, mogących znajdować się w pobliżu

Niebo jaskrawiło się na wschodzie, a obfita rosa pokrywała każdy skrawek ziemi porośniętej bujną, podzwrotnikową roślinnością. Puszcza, po nocnym ożywieniu, zaczęła się już uspokajać. Milkły tysiączne głosy przenikające dżunglę spowitą mrokami, tylko niestrudzony ptak kero-kero, o każdej porze dnia i nocy czuwający, leciał gdzieś ponad szczytami drzew i wrzaskliwie wykrzykiwał swoje zawołania. O tej porze układa się do snu i jaguar-myśliwiec i tatu-zwierzyna (dasypus) i lękliwy kapiwar i krwiożerczy żaguaterykon, budzą się natomiast, piskliwie oznajmiając swoją obecność, dzikie indyki-żagutingi, makuku-perliczki i nambu-kury.

Ponure, czarne i śmierdzące, na wieki pozbawione głosu korwy-sępy, krążą wtedy nad dżunglą w bladym świetle powstającego dnia, wypatrując swemi niezawodnemi oczami szczątek uczt nocnych przez panów puszczy urządzanych.

Jakiś zapóźniony jaguar zaryczał jeszcze raz głosem nażartego, sytego rabusia i umilkł, aby powtórzyć swój śpiew dopiero późnym wieczorem, przed conocnemi łowami.

Rzeka była już blisko.

Posuwaliśmy się bezszelestnie w nadziei, że może na brzegu natkniemy się na zwierzynę. Napróżno jednak wytężaliśmy wszystkie swoje zmysły, aby nie uczynić najmniejszego hałasu, kapiwary czujne i płochliwe niczem stepowe wilki—guará, umknęły na chwilę przed naszem przybyciem pozostawiając tylko świeżutkie ślady i rozhuśtaną od skoków przerażonych zwierząt, wodę.

Mój towarzysz odwiązał przymocowaną do drzewa łódkę, przemyślnie na sposób indyjski z jednego pnia drzewa uczynioną, nakładł do niej kamieni i ruszyliśmy wdół rzeki.



Indjanie pół-cywilizowani.

Po obu brzegach rosła szumiąca, splątana i jednolicie zielona dżungla. Drzewa otulały rzekę, jakby miłośnie, nachylały się głaszcząc gałęziami i ljanami jej błyszczącą powierzchnię.

Sunęliśmy cicho po lazurowych toniach, niczem wielkie groźne jastrzębie czatujące chciwie na zdobycz. Jak przed temi skrzydlatemi drapieżnikami, uciekali przed nami wszyscy mieszkańcy dżungli. Co chwila wsuwały się bezszelestnie do wody płochliwe, a czujne wydry, zrywały się igrające na wodzie i ulatywały ciężko niezgrabne paty (anas braziliensis), a z nadbrzeżnych drzew uciekały

z wrzaskiem wielkie stada zielonych krzykliwych papug perekit (psittaco rufirostris).

Już niemal straciłem nadzieję upolowania czegokolwiek w tym dniu, gdy na wielkiej kłodzie leżącej nad rzeką dostrzegłem parę kapiwarów wygrzewających się na przyjemnem, nie piekącem rannem słonku. Mój towarzysz położył cichutko wiosło, obaj przycupnęliśmy na dnie łodzi i posuwaliśmy się powoli wraz z prądem. Odwiodłem kurek u Winchestra, lufę oparłem o dziób kanoy (łodzi) i czatowałem na chwilę, gdy zbliżymy się na odpowiedni dystans dający szansę trafienia z chwiejnej podstawy. Kapiwary rozmarzone słońcem i zapewne bardzo syte po nocnem żerowaniu, straciły zwykłą czujność, dopuszczając nas na odległość nie większą jak czterdzieści kroków. Było to możliwe tylko dlatego, że łódź sunęła tuż przy samym brzegu, w głębokim cieniu rzucanym przez nadbrzeżne drzewa.

Złożyłem się...

Władczy głos strzału, tryumfalnie oznajmiający obecność człowieka, pana całego świata i wszystkich jego dżungli, ozwał się ponurem przeraźliwem echem. Powtarzały go przez długą chwilę skały, parowy i góry. Jak groźne memento brzmiał trwożliwym jękiem w sercach wszelkiego stworzenia leśnego wywołując grozę i trwogę.

Szybciej aniżeli wzrok ująć zdoła, a usta opowiedzieć potrafią, zniknęły w falach rzeki kapiwary. Na wodzie zaznaczyły się dwie smugi, wyraźnie wskazując kierunek ucieczki pary nurków.

Nadeszła chwila, w której ostrożność stała się już zbędną; krzycząc i zachęcając się wzajemnie do pośpiechu podążaliśmy za szybko umykającą zwierzyną.

Kapiwar jest dobrym nurkiem, może płynąć pod wodą kilka minut, ale tylko kilka, potem zaczyna dusić się i musi wypłynąć na powierzchnię dla zaczerpnięcia tchu.

Pędziliśmy tuż nad śladem rysującym się wyraźnie na wodzie. Po pewnej chwili, gdy kapiwar musiał lada moment wypłynąć, zacząłem rzucać w wodę kamienie, aby przerażone pociskami zwierzę, lękało się wychynąć na powierzchnię. Dwie minuty nurkowania dłużej, aniżeli płuca kapiwara wytrzymać zdołały i, oszołomione, napół uduszone stworzenie, nieprzytomne prawie z braku powietrza, wypłynęło na rozkołysane fale.

Na to tylko czekałem.

Trzepnąłem je raz i drugi kolbą w mokry łeb i chciałem wciągnąć do łodzi, która jednak nie wytrzymała gwałtownych ruchów, straciła równowagę i przewróciła się. Żal mi było puścić upolowaną z takim trudem zwierzynę, zawiesiłem przeto na szyi karabinek i trzymając mocno kapiwara, popłynąłem do brzegu, łódź zostawiając na opiece chłopca. O to, aby mój towarzysz utonął, nie obawiałem się wcale, gdyż wychowany w puszczy chłopiec pływał lepiej od ryby, a takie drobne przypadki jak wypadnięcie z łodzi na środku rzeki, zdażyły mu się napewno nie jeden raz. Rachuby moje sprawdziły się, gdyż dotarł on do brzegu wraz z łodzią, jeszcze wcześniej, aniżeli ja z kapiwarem.

Gdy znalazłem się z powrotem w rańszy kolonisty, słońce wzbiło się już wysoko, a dżungla otoczona jego palącemi podzwrotnikowemi promieniami, stała milcząca i nieruchoma.

M. B. Lepecki.



W dżungli brazylijskiej.

Wyprawa myśliwska do Abissynji

4

Około drugiej popołudniu ujrzeliśmy sporą wieś, którą somalisi nazwali Karsa. Nie zbliżając się zbytnio, bo bliskie sąsiedzwo czarnej osady nie należy do rzeczy przyjemnych, rozbiliśmy obóz. Opodal płynął strumień, w którym służba jęła wnet poić juczne zwierzęta.

Pan D. i ja, siadłszy przed naszym namiotem, przywołaliśmy tłumacza, który, jak wiadomo służył nam także za przewodnika, i jęliśmy mu wykładać plan dalszej drogi. Samalis stał przed nami jak śliczny posąg, łypał oczyma, poważnie kiwał głową, i wyglądał jak ktoś co posiadł wszystkie mądrości świata. Gdy jednak, porzuciwszy drogi okólne spytaliśmy go wprost, czy pewien jest, że zdoła poprowadzić karawanę w obranym przez nas kierunku — które to pytanie zadaliśmy mu pomimo wielokrotnych z jego strony zapewnień, że zna Abisynję jak własną chatę - odpowiedział, że człowiek zawsze jest omylny, a los wszystkich spoczywa w ręku Allacha.

Spojrzeliśmy po sobie zdetonowani. Ładna rzecz! Chodziło nam przecie nie o bezcelową włóczęgę po kraju, lecz o łowy, i mieliśmy słuszny zamiar iść szlakiem najbardziej obfitującym w zwierzynę. Ważną też było rzeczą móc odnawiać zapasy wody przynajmniej co drugi dzień. Jeżeli zaś czarny wyraża choćby słabą wątpliwość w swe zdolności, znaczy to, że jest pewien iż w danym kierunku nic nie zdziała, bowiem synowie afrykańskiego lądu zarozumiali są bezgranicznie.

Ostatecznie jednak nie było żadnej tragedji. Od Dire Dana oddaliliśmy się zaledwie o trzydzieści parę kilometrów; postanowiliśmy więc, że pan D. uda się tam z powrotem, jutro rano, i sprowadzi dobrego przewodnika.

Tymczasem zapadła noc. Zjadłszy kolację położyłem się na polowem łóżku wewnątrz namiotu, pozostawiając jednak uchylone „drzwi“. Ziemia wydzielała z siebie dzienny żar i było jeszcze niemal gorąco.

Obóz już się układał do snu. Wielblądy przeżuwały paszę posapując cicho; muły parskały raźnie. Ludzi niemal widać nie było, tak że się zlewały ich ciemne ciała, owinięte w ciemne koce, z brunatnem tłem ziemi. Niebo lśniło tysiącem gwiazd, a pośrodku obozu, rozjaśniając mrok, płonęło spore ognisko. Kolejna warta przypadła na jednego z mych strzelców, imieniem Musu. Ali, drugi mój strzelec, wielki przyjaciel pierwszego, dotrzymywał mu towarzystwa.

Widziałem ich doskonale. Siedzieli obaj tuż przy ogniu, o kilkanascie kroków odemnie. Ali, chłopak może dwudziestoletni, przystojny, wysoki i smukły, o twarzy dość łagodnej; Musu, nieco starszy, niski, krępy, i patrzący z podełba dzikiemi oczyma. Rozmawiali tym razem, używając rozpowszechnionego tu djalektu, będącego mieszaniną angielskiego, francuskiego, niemieckiego i paru miejscowych narzeczy. Słyszałem ich doskonale i rozumiałem niemal wszystko.

Mówili o jakichś łowach na słonie, w których brali udział rok temu. Później, o tem, jak na karawanę w której skład wchodzili napadł w czasie postoju nosorożec, i zabił człowieka oraz dwa wielblądy nim go zdołano trupem położyć.

Musu wyjął z pochwy nóż, długi, zakrzywiony, podobny do małego jatagana, i jął go czyścić. Ali wyciągnął rękę, dotknął palcami błyszczącej klingi, i pełnym uszanowania głosem, spytał:

„To ten sam?“.

„Tak!“.

Roześmieli się obaj, zdławionym ostrożnością, lecz radosnym śmiechem.

„Opowiedz jak to było?“ — prosił Ali.

Musu wzdragał się, ale znać było, że dla formy tylko.

„Opowiadałem ci już dwa razy!“.

„To nic! Opowiedz jeszcze! Była taka sama noc“...

„Była taka sama noc... pochwycił Musu. — Wiedzieliśmy, że pułkownik idzie polować na szakale. Wiedzieliśmy w jakim idzie kierunku. Nas poszło trzech: brat mojej matki, sąsiad nasz, i ja, Mieliśmy tylko noże. Palna broń jest dobra, ale robi zadużo huku; przytem w nocy nie widać z daleka lęku i bólu na twarzy wroga. Zresztą najprzyjemniej uderzać bronią ręczną i czuć jak stal zagłębia się w ciało...“.

„No więc poszliśmy we trzech, i urządziliśmy zasadzkę na jego drodze. Szedł tak spokojnie jak po własnym salonie, więc wcale nie było trudno. Brat matki uderzył pierwszy, i właściwie pułkownik miał już dość: nóż wlazł w plecy tak głęboko, aż się o kość pacierzową wyszczerbił. Sąsiad tylko stał i patrzał. Ale ja chciałem koniecznie zakosztować krwi białego człowieka; więc gdy on podniósł ramiona, jakby się chciał złapać za głowę, uderzyłem go pod pachę z lewej strony, aż nóż doszedł do serca. Zwalił się na ziemię jak kamień. Zaciągnęliśmy go w gąszcz, mając nadzieję, że hjeny

i szakale pożrą trupa; ale biali zaraz nazajutrz trafili na ślad i, jak wiesz, pochowali go z wielką paradą. Ja też byłem na pogrzebie, a szedłem tak blisko trumny, że raz mogłem jej nawet ręką dotknąć. A oni nic nie wiedzieli“...

Roześmiał się cicho; Ali mu zawtórował. Przez chwilę szczerzyli tak obaj zęby, niby dwa złośliwe psy. Potem Ali przeciągnął się, ziewnął i zadecydował.

„Będę już spał! Późno“...

„Śpij!“ — zgodził się Musu.

Ognisko przygasło nieco i chłód nocny powiał. Ostro krzyknąłem na mego strzelca by zamknął „drzwi“ namiotu. Zbliżył się posłusznie i spełnił, co mu kazałem. Przez chwilę miałem tuż nad sobą jego twarz, z której nie zeszedł jeszcze wyraz zwierzęcego upojenia. Zdawało się, iż dopiero co wąchał dymiącą krew. Mimowoli niemal zacząłem groźnie:

„Musu“ —

Nasrożył się nieufnie i błysnął ku mie oczyma. Mógł przypuszczać, że słyszałem ich rozmowę, ale we wzroku jego nie było lęku. I prawdę mówiąc, czego się miał bać? Że zdradzę jego tajemnicę? Ależ dowodów nie miałem żadnych! Kto mi uwierzy na słowo? Zabójcy natomiast znajdą z łatwością alibi i tłum świadków.

„Możesz iść, Musu!“.

Odszedł, a ja długi czas jeszcze rozmyślałem nad krwawą tragedją, której rozwiązania szukał napróżno sędzia śledczy z Dire Dana pół roku temu. Zabity był pułkownikiem wojsk francuskich. Opowiadano mi parokrotnie o jego tajemniczej śmierci. To, com o niej słyszał dawniej, i to co teraz mówił Musu, najzupełniej się ze sobą zgadzało. Nie wątpiłem, że chodzi o jeden i ten sam fakt. Nie wiedziałem tylko, jakim był powód morderstwa? Zemsta, za sponiewieranie kraju przez najeźdźców, obraza osobista, miłość, czy też poprostu żądza krwi?...



PIĘKNA ZDOBYCZ.

Zasnąłem dopiero po północy.

NAD RZEKĄ UEBI.

Dnia tego wstaliśmy bardzo wcześnie, a gdy służba zwinęła obóz ruszyliśmy w drogę. Wyniosłe płaskowzgórze wiodło nas ku rzece Uebi, przejście przez którą, jak zgodnym chórem twierdzili czarni, miało być niezmiernie uciążliwem.

Jazdę, dość monotonną, urozmaiciło nam miłe spotkanie. W pewnej chwili ujrzeliśmy bowiem

kilka ciemnych punktów poruszających się miarowo, i wyraźnie sunących ku nam. Później spostrzegliśmy, że są to ludzie siedzący na mułach, wreszcie, że jeden z jeźdźców, to kobieta, o ciemnej cerze i egzotycznych rysach, drugi, mężczyzna niezawodnie białej rasy choć opalony na bronz, i trzeci wreszcie, typowy somalis. Ponieważ pod zwrotnikiem etykieta nie obowiązuje tak ściśle jak w europejskich salonach, więc jednocześnie niemal my, to jest pan D. i ja, oraz nieznajomi podróżni, rzuciliśmy ku sobie słowa powitania, a w chwilę potem ucięliśmy miłą, choć krótką pogawędkę.

Wylegitymowawszy się jako polacy i myśliwi, od paru tygodni zaledwie zamieszkujący kontynent afrykański, usłyszeliśmy wzamian, że nasz nowy znajomy jest francuzem, a egzotyczna piękność — abisynką i jego żoną. Somalis, to przewodnik. Jadą z Ginyru, gdzie odwiedzali znajomych, do Harraru, gdzie mają fermę.

Są młodzi, zdrowi, zamożni, i kochają się bardzo.

Francuz mówił żywym i barwnym, właściwym swej rasie stylem. Ona słuchała rumieniąc się chwilami, tym cudownym rumieńcem ciemnoskórych ludzi, i wodząc po nas radosnemi oczyma. Rozstaliśmy się wkrótce, ale na pokrytej niskiemi krzewami przestrzeni, długi czas jeszcze lśniły ich białe, miarowo kołyszące się korkowe hełmy.

Około drugiej popołudniu stanęliśmy nad wąwozem na dnie którego płynęła Uebi. Czarni, wyjątkowo tym razem nie przesadzili wcale; przejście przez wąwóz i rzekę było istotnie trudne, a z ciężko objuczonemi wielbłądami, niemożliwe. Rozbiliśmy więc namioty w cieniu paru większych drzew, a przewodnik nasz ruszył niezwlekając do pobliz-kiej wsi pertraktować o wynajęcie osłów i mułów, które, bardziej od wielbłądów zręczne, miały przenieść nasz bagaż na drugą stronę.

Pan D. znużony nieco, objawił chęć pozostania w obozie i ze zwykłą mu uprzejmością, obiecał, że zajmie się ładowaniem i przewozem naszych rzeczy. Zachwycony takim obrotem sprawy postanowiłem dokładnie obejrzeć wąwóz i rzekę. Ali i Musu, dwaj moi czarni strzelcy, towarzyszyli mi niosąc broń i ładunki.

Zejście było istotnie bardzo uciążliwe. Ścieżka, bo trudno było nazwać drogą ten ledwie przetarty szlak długości około dwuch kilometrów, wiła się w dziwacznych skrętach, opadając zazwyczaj w dół, ale nieraz też biegnąc poziomo, lub pnąc się nawet ku górze by wyminąć zbyt strome miejsca. Im bliżej byliśmy wody, tem dokładniej widać było lśnący nurt, zieloną trawę wysoką i bujną, oraz rozkoszujące się obfitością pokarmu i napoju nasze muły, które paru czarnych zdążyło już na dół sprowadzić.

Bronisław Gordziałkowski.

(*D. c. n.*)

MÓJ PIERWSZY DUBELT.

(*Z teki myśliwego*).

Dawne to już dzieje! Nie mało wody i łez upłynęło od tego czasu na świecie szerokim!...

Miałem lat czternaście — epoka strzelania do szpaków, srokoszy, sójek uprawianego w przeciągu paru letnich wakacji minęła dawno.

Jesienią roku poprzedniego kiedy chodziłem z poczciwym starym legawcem „Tresorem" — ten ostatni wystawił zająca w burakach — padł mój strzał... i szarak kapitalnie zrulował!... Radości mojej nie było granic! Rzuciłem się, jak szalony, do drgającego jeszcze „kota" — bojąc się, żeby go pies czasem nie „pożarł".

Od tej znamiennej chwili zostałem „urbi et orbi" — pasowanym na zawodowego Nemroda. A kiedy do tego jeszcze w kilka dni potem udało mi się „wytrącić" kuropatwę ze stadka, oraz zdobyć i jedną przepiórkę, sława wybitnych zdolności łowieckich otoczyła mię wśród rodzeństwa i domowników aureolą powagi — w której paradowałem, jak paw w pogodny ranek majowy.

Już nie słyszałem więcej ironicznych uwag w rodzaju: a co? — „zawsze strzelasz do wróbli tylko!?" — i to o zgrozo! — odnośnie do tak „wielkich" ptaków jak drozd lub kraska skierowanych.

Od owej zamierzchłej epoki przeżyłem nie mało poważnych emocji i nastrojów łowieckich... Nie mało wydeptałem moczarów, błot, rżysk, lasów i krzaków po kraju całym jak długi i szeroki, nie mało padło z mej ręki zwierzyny wszelkiej od niedźwiedzia, łosia, odyńca, rogacza do ptactwa przeróżnego bez liku — i daj mi Boże Najwyższy jak najdłuższe lata jeszcze składać me hołdy na ołtarzu św. Huberta! — jednak nie zapomnę nigdy,

tego poranku wrześniowego, kiedy to padły z mej ręki takie poważne trofea, jak pierwszy zając i pierwsza kura — z prawdziwych, najprawdziwsze.

Po podobnych sukcesach — począłem marzyć o kszykach.

W towarzystwie mego pierwszego „mentora“ myśliwskiego — nieodżałowanej ś. p. Bronisława Dymnicza „per modum“ będącego u nas pomocnikiem leśniczego, zawiadowcą pszczelnictwa, w rzeczywistości zaś coś w rodzaju urzędnika do „szczególnych zleceń“ — z ową poczciwą postacią rzetelnie do całej rodziny przywiązaną (prosto zda się ze szkiców Fałata zdjętą) — nie mało namordowaliśmy się wspólnie na naszych błotach, tak zwanych „rudach“ stepowych w pogoni za bystrolotnemi „scolopaxami“[1]).

Pudłowałem naturalnie, jak z regestru! Popularnie zaś tak zwany Bronio walił i walił bekasy bez pardonu! Padały iście jak gruszki dojrzałe — i to najczęściej, niestety, po moich niefortunnych strzałach, od celnej zawsze „poprawki“ miłego myśliwego staroświeckiego autoramentu!

Doprowadzić to mogło do prawdziwej rozpaczy i czarnej melancholji!

Pewnego upalnego sierpniowego popołudnia wybraliśmy się po odrobionych lekcjach (pamiętam, miałem wówczas „peregzaminówkę“ — z algebry) — na tak zwane Karabczejowskie jeziora.

Był to szereg typowych kresowych błotek powstałych po wiosennych roztopach w miejscach nizinnych. Na nich też nieraz zastać można było nawet i „błotnego arystokratę“ — przelotnego dubelta!

Oczywiście, jak zawsze ś. p. Rodzice w opiekę starego, niemal że przyjaciela Bronia powierzyli moją, rwącą się do strzału i gorącą bardzo indywidualność.

„A zdaje mi się paniczu, czy nie napotkamy dziś tam i dubeltów?“ — o tej porze, po nocnem deszczu „presse“[2]) — że musi być „som!“[3]).

Z wrodzoną młodzieńczą przebiegłością odrazu „skapowałem“ cały tego urok.

Wiedziałem, że dubelt leci prosto jak „na nitce zawieszony“, według tak trafnego określenia Włodzimierza Korsaka, a więc „ergo“, jeśli wypadnie strzelić do „majora“[4]) — to kto wie? — może i spadnie! — a wtedy raz na zawsze koniec z powodu mych „pudełek“ — domowym docinkom i ironjom! Bekas czy dubelt dla profana — przecież to jedno i to samo, nieprawdaż?!

Przyjeżdżamy na miejsce. Kilka wystawionych

1) Bekasami.

2) Prowincjonalizm kresowy z francuskiego „précisiment“. 3) Też zwrot lokalny.

4) Scolopax major — po łacinie dubelt.

przez starego tresora kszyków padło — naturalnie nie z mej ręki - lecz oczywiście „poprawionych“— przez wytrawnego Bronia!

Wtem jakiś opasły „scolopax“ zrywa się i prawie „po dubelciemu“ ciągnie bardzo nisko nad ziemią.

Przekonany, że to dubelt — pospiesznie rzucam dwa strzały – o szczęście! — szmatką bez życia wali się ptaszek w trawę błotną!

O jakie kroków trzydzieści od miejsca poderwu, na brzegu moczaru rosła dość duża kępa wysokich konopi na włościańskiej działce — akurat w prostym kierunku moich strzałów.

„Bronisław! jest! jest!... dubelt!... jest!“ — wrzeszczę w niebogłosy! „Gracko! paniczu, gracko! — winszuję!“.

Jednocześnie prawie, jednak, o zgrozo!— z konopianych czeluści i mroków — rozlegają się nieludzkie lamenty. „Oj! oj! oj! — sczo ce take! Oj oj! oj! — spasy Hospodi!“[1]).

Włosy stanęły mi dęba na głowie!... raniłem kogoś? — ładny dublet! — a nie tylko dubelt! „Źle paniczu, źle — cóż robić!? — wola Boska! — aby tylko panicz nie bardzo „diad'ka“[2]) „naszpikował“. Widzimy rzeczywiście, jak stary chłopisko w hajdawerach z samodziału i zgrzebnej koszuli — wyłazi pomału z konopi — przestaje krzyczeć coprawda, lecz wyraźnie i mocno kulejąc — najspokojniej podąża oparty na kijaszku — prosto ku nam! „Paniczu, proszę nie „rozpytywać“ — jak? i gdzie? o nie! — sam „had“[3]) — niech wyśpiewa, co mu się stało! — to takie „cholery“... pal ich mać! — Bóg wie! —jakie teraz będą jego pretensje!? Jeszcze dobrze, że żyje i rusza się!“ Ładna dla mnie pociecha? — stoję więc struchlały — jak wśnie gorączkowem!

„Nu i naliakały że mene pany! — taka spikota, w konoplach zasnuł — a tu, jak ne tarachnete nad uchom z rusznyci!—zwistno perelakawsia do smerti! — a kto wy taki budete z widkilia? — a z Wercbowni!? — a papyrosku majete?“[4]). „Proszę bardzo!“ i uradowany Bronio sięgnął do kieszeni. „Paniczu, on się niby na nic nie skarży — ale dlaczego kuleje?“ — szepnął do mnie mój mentor.

Adam hr. Rzewuski.

(*D. c. n.*)

1) Po rusińsku „co to takiego? ratuj Boże!“

2) Chłopa.

3) „Had“ — po rusińsku, lekceważąco „chłop“.

4) No i nastraszyliście mnie panowie!—takie gorąco— zasnąłem w konopiach — wtem jak nie trzaśnie mi nad uchem! ze strzelby! — naturalnie nastraszyłem się śmiertelnie! — a skąd wy jesteście, coście za jedni?—a z Wierzchowni (mój majątek na Ukrainie) — a macie papierosa?!

Myśliwsko-wędkarskich wspomnień parę.

3

Dopiero na pławniach jednak zaczynała się prawdziwa myśliwska i wędkarska rozkosz. Jeździłem tam zwykle 4 razy do roku na 2—3 dni każdym razem; raz jeden bawiłem tam 5 dni i przywiozłem wtedy z sobą do domu dwie paki trofeów myśliwskich i rybackich, które ważyły przeszło 17 pudów.

Główna połać prawobrzeżnych pławni, gdzie polowałem, stanowiła część ogromnego Hruszew-Rohaczyckiego majątku wielkiego księcia Mikołaja Michałowicza, majątku, który liczył 140.000 dziesięcin ziemi, w czem samych pławni koło 80.000 dziesięcin. By mieć pojęcie o tym ostatnim obszarze, wystarczy sobie przypomnieć, iż przedstawia on mniej więcej 800 kilometrów kwadratowych powierzchni.

Polowanie stepowe, które przy starannej ochronie zwierzyny w Hruszewce były podobno bardzo dobre, rezerwowano wyłącznie dla właściciela i jego gości, natomiast zarząd dóbr wydawał co roku kilka pozwoleń na polowanie w pławniach na błotną i przelotną zwierzynę.

Dzięki znajomości corocznie otrzymywaliśmy takie pozwolenia wraz z p. B., stałym moim kompanem od polowania, byłym obywatelem z Wileńszczyzny, a w owe czasy przedstawicielem jednego z głównych dostawców materjałów wybuchowych do kopalń krzyworoskich. Na samych pławniach mieliśmy doskonałego organizatora naszych polowań i bardzo przyjemnego przewodnika i towarzysza w osobie Wasyla D., miejscowego rybaka i przedsiębiorcy, dzierżawiącego samodzielnie znaczny rewir rybołówstwa od zarządu dóbr książęcych. Miał on 60 dziesięcin ziemi w stepie, posiadał chatę z obszernemi zabudowaniami i winnicą, prowadził sklep z przyborami rybackimi i warsztat wyrobu sieci, trzymał i odnajmował około 40 łódek, które nietylko reparował, lecz i sam wyrabiał; miał pasiekę, składającą się z 200 przeszło piennych uli, którą na lato wywoził w pławnie i t. d.

Prosty ten i nieumiejący pisać człowiek, w wieku lat trzydziestu paru, bardzo niegłupi i zajmujący w pogawędce, nietylko świetnie prowadził swe własne sprawy, lecz z całą gorliwością nieomal bezinteresownie — drobne prezenty były wszystkim czem mu się odwdzięczaliśmy — zajmował się naszymi polowaniami; doskonały strzelec i świetny rybak, ze szkodą oczywistą swych rozległych interesów, poświęcał nam za każdym naszym przyjazdem cały swój czas wraz z łódkami, ludźmi i t. d. za co naturalnie stosownie do miejscowych cen i warunków wynagradzaliśmy go.

Trudno doprawdy mieć wyobrażenie o ilości i rozmaitości ptactwa wszelkich gatunków, które się widzi, już to jadąc łódką po obrośniętych wikliną i staremi wierzbami, a na wyższych miejscach i topolami - osokami, rzeczkach, już to stojąc na rannych i wieczornych przelotach na jeziorkach i błotach. Ogromne nadwodne orły — mam ich sztuk kilka na sumieniu, — stepowe orliki, kanie i jastrzębie od największych do najmniejszych; nocami w rozłożystych starych wierzbach hukające puhacze, nie mówiąc już o sowach i sówkach; czaple największe siwe, średnie rude i maleńkie śliczne białe egretki, kwaki wszelkiego rodzaju i wielkości, bąki zwane po miejscowemu „buhajami“, kurki, łyski, kaczek lęgowych tylko siedem gatunków prócz przelotnych, bekasy i bekasiki, bataljony, kuliki i kulony, nury-perkozy; a na jesieni słonki setkami po zaroślach nadbrzeżnych, a na wodach — gęsi tysiącami, od czasu do czasu łabędzie, wielkie ciemne w jaśniejsze kropki nury zwane „bakłanami“, bardzo rzadko pelikany całe białe lub też z ciemnemi skrzydłami — słowem taka masa i różnorodność ptactwa, że w Muzeum Krajowem imienia A. N. Pola w Jekaterynosławiu same tylko wypchane egzemplarze zajmowały całkowicie 2 pokoje.

Z większych czworonogów zdarza się tu wydra, po wyższych piaszczystych ławach „griadach“ — lis, rzadki jest już bardzo żbik, a niekiedy zimą zabłądzi podobno w oczerety stepowy włóczęga — wilk „sirko“; opowiadał mi Wasyl iż b. dawno spotykano i dziki, lecz obecnie już ich niema.

Z Krzywego Rogu dojeżdżaliśmy koleją do stacji Tok, skąd wysłanymi przez Wasyla końmi stepową drogą wiorst 12 do sioła Marjińskiego, gdzie na wysokim brzegu po nad samą rzeczką Podpilną, ograniczającą z tej strony pławnie, mieszkał Wasyl. Naprędce wypijało się herbatę, przeładowywało rzeczy i rozmieszczało myśliwych pod wyłączną już komendę Wasyla do oczekujących wysłanych sianem łódek „kajuków“, żłobionych z osikowego pnia i hajda na 2—3 dni w pławnie. Chleb, sól, pomidory, słoninę i kaszę, jak również kocioł, czajnik i latarnię dostarczał Wasyl, resztę zaś my.

Tu już odrazu traciło się wszelką styczność ze zwykłym dla nas codziennym cywilizowanym światem i zaczynało się indyjskie pierwotne życie, któremu równego niema gdy się odpoczynku łaknie po wytężonej i nerwowo wyczerpującej pracy.

Z Podpilnej pierwszym z wodą przetokiem Baształ wyjeżdżało się na bystrą i głęboką wielkiemi wierzbami obrośniętą rzekę Skarbnę — podobno na jej dnie chowali kiedyś zaporożcy skarby, — mijaliśmy na granicy wielkoksiążęcych i woroncowskich ks. Woroncowa-Daszkowa pławni na wysokich wierzbach w powietrzu wybudowane chaty pławieńskich stróży-leśników i wyjeżdżaliśmy w nieskończony labirynt rzeczek, kanałów, błotnistych łąk, limanów i oczeretów. W zależności od stanu wód i różnych dla nas zupełnie często nie wyczuwalnych czynników Wasyl obierał jeziora, na których mieliśmy polować, oraz w ich sąsiedztwie miejsce na „kosz“ t. j. obóz, z którego promieniowaliśmy dookoła. Często kilka dobrych godzin jechało się łódką na obrane miejsce i tylko gdzieś zdaleka o kilkanaście wiorst rysował się, jak we mgle, wysoki stepowy brzeg.

Strzelanie kaczek w dzień, chodząc i szukając ich z psem, jest zupełnie niepraktykowane, bo wogóle chodzenie po błotach i kępach zarośniętych bardzo wysoką i ostrą trawą lub oczeretem jest niesłychanie męczące i bezcelowe; spotkanie kaczki na takich przestrzeniach jest ogromnie trudne. Strzela się zatem kaczki wyłącznie na wieczornych i rannych przelotach.

Na wieczorny przelot stawaliśmy przed samym zachodem słońca na podmokłych łączkach lub niewielkich błotkach w pobliżu łozinowych zarośli, gdzie zazwyczaj kaczki na nocny żer się zlatywały. Przelot trwał aż do zupełnego zmierzchu. Wasyl ze swym doskonale do odszukiwania i zbierania spadłych kaczek ułożonym psem Tumanem zwykle nas rozstawiał i wieczorem zbierał, fuzję zwykle miał z sobą, lecz strzelał rzadko, chyba że trzeba było jakiemu słabszemu strzelcowi dopomódz, który zamało kaczek miał na rozkładzie, na czem znowu miłość własna Wasyla by ucierpiała. Nigdy nie widziałem Wasyla strzelającego do siedzących na wodzie ptaków, lecz zawsze w lot, zato pudła jego, których przez dziesięć lat byłem świadkiem, na palcach jednej ręki zliczyć mogę; gdzie jednakowoż wychodził on najzupełniej z granic naszych możliwości i zrozumienia to właśnie na wieczornych przelotach; my już dawno przestawaliśmy strzelać, bo o dojrzeniu kaczki i mowy być nie mogło, co najwyżej słyszeliśmy świst skrzydeł, a on zbierając nas do powrotu wciąż podnosił fuzję do ramienia i strzelał, poczem zawsze oślepieni słupem ognia od czarnego prochu słyszeliśmy ciężkie uderzenie o ziemię spadającego ptaka. Trudno sobie wyobrazić do czego dojść może ostrość zmysłów u pierwotnego człowieka; sam on twierdził że w nocy nieomal tak jak i w dzień strzelać może; wiele razy byłem tego świadkiem, nie mówiąc już o dowodach. które dawał strzelając podczas jesiennych przelotów nocami gęsi i łabędzie na rozległych limanach Ponczyjskim, Rewieńskim i Białobrodzkim, które rzędem na przestrzeni 12 wiorst ciągnęły się poza Skarbną z północy na południe i były głównem miejscem noclegu tych chwilowych gości.

J. R.

(D. c. n.).

WSPOMNIENIA.

O ty, ciszy borów naszych! Wielki uroku puszcz łowieckich, — polan mszarów, mokradeł, oparzelisk! O, czarujący szumie starych jodeł, buków, dębów,— tchnących wiecznie tętnem poezji,— zaklętych w mistyczne czary, bawiących oko malowniczą zielenią, aromatem nadzwyczajnym orzeźwiających i karmiących pierś naszą, przemawiających niesamowitym rozgwarem i czarem do serc i dusz łowców, miłośników przyrody.

Powiedzcie mi, wy bory, co za wielkie tajniki kryją wasze łona? Co działo się tu przed wieki? Jakimi byli odwieczni, naturalni, prastarzy siedzib tych mieszkańcy i władcy? Czemu nie oszczędziła was złowroga przemocy ludzkiej ręka? Czemu tak strasznym jest człowiek, który niczego nie uszanuje, niczego nie uchroni, — wkrada się do największych i najskrytszych tajników przyrody i walkę nieubłaganą wszystkiemu wypowiada?

Człowiek — to najstraszniejsze z pośród wszystkich stworzeń, przemoc którego nie zna pardonu dla niczego. Atawizm jego szerokie roztacza kręgi i sieje zniszczenie dokoła,— niesie zagładę wszystkiemu co mu niedogodne, lub na zawadzie stoi. Choćby to było najszlachetniejsze, najpiękniejsze, najwznioślejsze, gdy powieje groźne tchnienie człowieka-władcy, wszystko to wniwecz się obraca, wszystko zamiera, wszystko co dobre i piękne i szlachetne,— marnieje. Gdzie stopa ludzka postanie, — ginie piętno poezji, wszystko niemal czego dłoń ludzka dotyka — zbrukane, zatraca swe naturalne piękno czystości, — bo dobrych szlachetnych ludzi tak na świecie niewielu...

* * *

Płaczą i żalą się na swą niedolę wielką zarówno biedne malutkie ptaszęta, jak i olbrzymi puszcz leśnych dziedzice. Skargi ich w tysiącznych rozgwarach dolatują uszu ludzkich. Tęsknicą brzmiące pieśni zawodzą mnogie śpiewaków leśnych rzesze; żałosnem echem dźwięczące głosy wszystkich przy życiu pozostałych'mieszkańców dzikich ostępów.

W nierównych tytanicznych zmaganiach z naturą wymarło co lepsze, ostali się jeno fizycznie silni, lecz brutalni i srodzy; ci prawa dyktują, im podporządkować się wszystko musi.

* * *

Ponad borami szemrzącemi gędźby prorocze, ponad wielkiemi uroczyskami, kędy nocami puszczyki huczą i tęsknie klangor żórawi zawodzi,—ponad któremi ciągną klucze gęsi, sznury cyranek i chrapie ruda słonka, — głucha cisza panuje niepodzielnie...

Symbol złowrogi śmierci wycisnął swe znamię złowrogie i objął wszystko w swe straszne posiadanie...

* * *

Nieszczęsne losu koleje przeistaczają przecudne ustronia w pustynie, skazując na zagładę piękne okazy dawnej przebogatej fauny, naturalną okrasę naszych prastarych łowieckich ostoi.

* * *

O jakże ubogi duchem jest przedstawiciel rodzaju ludzkiego...

Jak mało zdolen on jest wznieść się duchem nad niskie poziomy, do ideału, na szczyty dobra i piękna prawdziwego, — walczyć nieubłaganie ze złem, by osiągnąć najwyższą doskonałość, zaskarbić sobie wieczne, nie z tego świata płynące szczęście...

Stefan Ostrowski.

Z żałobnej karty.

Wspomnienie pośmiertne o ś p. Aleksandrze Ipohowskim-Lenkiewiczu.

W ostatnich dniach roku zeszłego zmarł ś. p. Lenkiewicz, jeden z najznakomitszych myśliwych, człowiek niesłychanej prawości.

Urodził się w r. 1861 w rodzinnym majątku Kopcewicze (p. Mozyrski, Ziemia Mińska). Początkowe nauki pobierał w gimnazjum mozyrskiem, następnie przeniosł się do Równa, gdzie w r. 1879 ukończył gimnazjum realne i w tymże roku wstąpił na wydział leśny w instytucie leśno-agronomicznym w Puławach. Tam zapoznał się z Bardowskim i Kunickim i wszedł do „Proletarjatu“. Wrażliwy i gorący, a przytem niezmiernie uczuciowy, całą duszą oddał się sprawie. Wszelkie pieniądze przysyłane przez rodziców na utrzymanie, oddawał do kasy spiskowców, a na własne utrzymanie zarabiał sam. W r. 1882, aresztowany wraz z innymi, przewieziony został do Wilna i tu długie miesiące siedział w pawilonie nr. 14 na Antokolu. Uwolniony z powodu choroby z więzienia dwa lata pozostawał w Wilnie pod ścisłym nadzorem żandarmerji moskiewskiej. Następne dwa lata przebył w rodzinnych Kopcewiczach, zawsze jeszcze pod nadzorem policji i żandarmerji aż do roku 1886, w którym po uzyskaniu paszportu zagranicznego wyjechał do Lwowa na Politechnikę na wydział chemiczny.

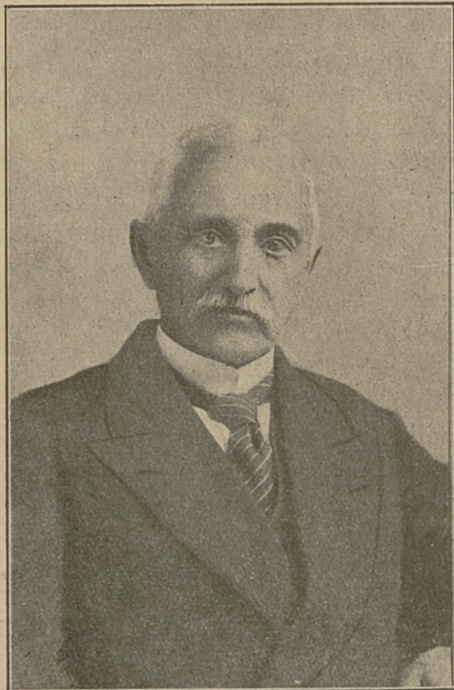
Po ukończeniu nauk osiadł w Kopcewiczach, zarządzał gorzelnią i dzierżawił folwark ojcowski Wielkie-Pole. W tym czasie zawiązał na Polesiu pierwsze Kółko myśliwskie. W r. 1900 po śmierci ojca przeniosł się do majątku Dąbrowy i tam prowadził racjonalne gospodarstwo rolne, leśne i rybne. Troskliwą opieką otaczał zwierzęta leśne, sarny, zające, łosie oraz ptactwo, tępiąc wszelkich szkodników i rabusiów leśnych. Własnoręcznie zabił 175 wilków. Lisy, rysie, kuny i jastrzębie skazane były na zagładę. — Przy opracowywaniu samorządów, brał czynny udział we wszelkich pracach organizacyjnych i oddawał tu ogromne usługi, gdyż znał doskonale całe Polesie, które pieszo i konno nieraz zwiedzał. Podczas wojny światowej został przez rząd ukraiński mianowany starostą mozyrskim. Dzięki swemu taktowi i umiejętności postępowania z ludźmi, na stanowisku tem położył wielkie zasługi, chroniąc w miarę możności pow. mozyrski od zupełnego zniszczenia przez Niemców. Najazd bolszewicki zmusił go do wyjazdu do Warszawy. Tam został mianowany przez Rząd Polski starostą Kobryńskim. Przeniesiono go następnie jako starostę do Pińska, a potem do Mozyrza. Na stanowisku tem pozostawał do powtórnego najazdu bolszewickiego. Przy obu najazdach chro-

niąc mienie państwowe i pozostając wciąż w służbie rządowej, nie mógł dbać o własne mienie, to też cały fundusz utracił zupełnie w r. 1920. Po zawarciu pokoju Ryskiego, jak wszyscy ziemianie polescy, pozbawiony został majątku i ze zrujnowanem zdrowiem stanął znowu do pracy, jako naczelnik Wydziału Pracy i Opieki społecznej w Pińsku. Na stanowisku tem organizował ochrony i przytułki dla bezdomnej i opuszczonej dziatwy. Dzięki jego energji i zdolnościom organizacyjnym instytucje te rozwijały się pomyślnie i biedna dziatwa nie cierpiało niedostatku.

W r. 1922 opuścił to stanowisko. Ogarniała tak jego jak i ukochaną żonę, wierną towarzyszkę we wszelkich ciężkich chwilach, tęsknota za wsią i lasami poleskiemi. Objął więc stanowisko łowczego i zarząd terenów myśliwskich i osiadł w Kosinowie. Ale już nie dano mu było przebywać długo w puszczach i słuchać jak za dawnych czasów szumu borów poleskich.

Coraz bardziej rozwijająca się choroba, zmusiła go do opuszczenia tej pracy. Przeniósł się we wrześniu 1924 r. do Pińska, gdzie otrzymał stanowisko burmistrza. Marzył, że wróci do sił i zdrowia i z całą energją zabierał się do pracy, by zaprowadzić w gospodarstwie miejskiem ład i porządek. Śmierć żony w listopadzie była ostatnim ciosem, pod którym ugiąć się miał. — „Nie mam już po co żyć, powiedział, po powrocie z jej pogrzebu. — Żonę pochowałem, do Dąbrowy nie wrócę, nie ujrzę już mojego Polesia“. — Nazajutrz już ciężko zaniemógł i po sześciotygodniowej chorobie zmarł d. 27 grudnia 1924 r. w Pińsku, gdzie też i pochowany został.

Była to dusza czysta, jak kryształ, głęboko czująca ludzką niedolę, wrażliwa na piękno przyrody, miłująca dziką puszczę i jej mieszkańców, szlachetna dusza myśliwska w najpiękniejszem znaczeniu tego słowa.



Ś. p. A. LENKIEWICZ.



Z WYCIECZKI DO KROŚNIEWIC.

Skorzystawszy z zaproszenia zarządu lasów krośniewickich, należących do pana Konstantego Rembielińskiego, dnia 9-go maja wyjechałem z Warszawy w celu zwiedzenia tamtejszego gospodarstwa łowieckiego.

Rezultat jaki osiągnął tamtejszy nadleśny łowczy p. Lazar, przeszedł moje oczekiwanie, należy schylić czoło z uznaniem przed pracą i energją, jaką włożono, ażeby wychować i upilnować tak piękny zwierzostan w jaki obecnie obfitują lasy Krośniewickie.

Nie tylko zwierzostan w Krośniewicach jest piękny, ale i gospodarstwo leśne jest wzorowo prowadzone. Wszystkim tym panom, którzy twier-

dzą, że gdzie jest dużo zwierzyny — lasu dobrego mieć nie można, mogę w odpowiedzi dać radę „Jedźcie do Krośniewic — a zobaczycie“.

Po przyjeździe do Krośniewic zatrzymałem się u nadleśnego i zarazem łowczego dóbr p. Pawła Lazara.

Ranek mi zeszedł na oglądaniu Leśniczówki, a było co zobaczyć: wszędzie ład i porządek wzorowy, piękne odmiany drzew i krzewów zdobią ogród. Klatki z oswojoną zwierzyną, zaiste godną pamiętników pana Chryzostoma Paska. Różne gatunki bażantów, kuny leśne i kamionki, lisy i dziki — cieszą swym widokiem oko myśliwego.

Wszystko tak łaskawe, wesołe i piękne: widać, że ten kto je chowa, oddaje się temu z zamiłowaniem i że kocha przyrodę.

W osobnym pokoju leśniczówki znajduje się skład jajek bażancich przeznaczonych do sprzedaży. Poukładane na warstwie owsa leżą serjami, na każdem jajku napisana data zniesienia i odmiana. W roku obecnym sprzedano tam jajek 5.000 szt. mimo to — tylko w części pokryto zapotrzebowanie myśliwych hodowców.

Jajka wysyłają opakowane w suchy mech i szczelnie ułożone w skrzynkę. Sposób ten okazał się praktycznym, bo rzadko się zdarza, żeby którekolwiek jajko po doręczeniu paczki adresatowi było uszkodzone.

Jajka przeznaczone do sprzedania, zarząd tutejszy czerpie z woljer, lub zbiera po lesie.

W celu wyprodukowania jajek w woljerach p. Lazar w zimie około 15 lutego, przy podrywach, łapie w specjalną klatkę bażanty. Złapane po przycięciu skrzydła umieszcza w woljerach, w następującym stosunku — na sześć kur — jeden kogut. W woljerach bażanty przebywają do 1-go czerwca, potem zostają wypuszczone do lasu.

Bażanty w woljerach karmią tutaj tylko mięszanką pszenicy z jęczmieniem. Obliczyli, że na czas od 15-go lutego, do 1-go czerwca potrzeba do wyżywienia 100-u sztuk bażantów — 3 korce jęczmienia i 6 pszenicy.

Jajka po lesie zbiera specjalna drużyna wyrostków pod kierunkiem gajowego, w pierwszych dniach zaczęcia szukania jajek, robota idzie żmudnie, gdy jednak już gniazda zostaną znalezione — szukanie ogranicza się do zapamiętania miejsc, gdzie są gniazda i umiejętnem podbieraniu.

Około 15—25 maja p. Lazar przerywa zbieranie jajek, bażantki najczęściej drugi raz się niosą i już spokojnie wysiadują potomstwo.

(D. c. n.). *Antoni Łączkowski.*

Z konkursu wyżłów dowodnych.



Hodowcy z konkursowemi wyżlami.

1 p. B. Jasiński, junior; 2) p. Ig. Jasiński, senior; 3) p. R. Kowalewicz; 4) p. W. Przybyła; 5) p. Ig. Kramarczyk; 6) p. B. Gromowski.